


CROZOWNIA 2024





GROZOWNIA 2024


Egzemplarz numer



Copyright © 2024 Dagmara Adwentowska, Aleksandra Bednarska, Dariusz Frenki, Norbert Góra, Michał Górzyna, Dawid Kain, Maciej Klimek, Jarek Klonowski, Aleksandra Knap, Małgorzata Lewandowska, Dariusz Ludwinek, Anna Musiałowicz, Tadeusz Oszubski, Marta Płaza, Joanna Pypłacz, D.A.Recki, Łukasz Rzadkowski, Tomasz Siwiec, Bogusia Szewczyk, Maciej Szymczak, Zuza Wrona

Pomysł i wybór tekstów: Dariusz Frenki

Skład i korekta: Agata Jackiewicz (wypisz-wymaluj.eu)

 *Wypisz Wymaluj*
Agata Jackiewicz

Projekty graficzne: Paweł Jackiewicz (niemamweny.eu)



Ilustracje do opowiadań wygenerowane zostały przy pomocy AI, chyba że adnotacja przy ilustracji mówi inaczej.

EGZEMPLARZ JEST BEZPŁATNY.


Publikacja dostępna również jako: EPUB, MOBI, PDF.



Spis treści

Grozownia jest słowem.....	5
<i>Bogusia Szewczyk</i>	
Grozownia jest obrazem	6
<i>Marta Płaza</i>	
Kilka słów na początek... ..	7
<i>Dariusz Frenki</i>	
Ćmy ciągną do światła	9
<i>Dagmara Adwentowska</i>	
Drzewo poznania	13
<i>Dagmara Adwentowska</i>	
Człowiek w koszulce z krabem	17
<i>Aleksandra Bednarska</i>	
Chrzanić okazje.....	23
<i>Norbert Góra</i>	
Ali	25
<i>Michał Górzyna</i>	
Płynna linia frontu między mną a resztą	35
<i>Dawid Kain</i>	
Notes	41
<i>Maciej Klimek</i>	
Ta przecudowna Vera	51
<i>Zuza Wrona & Jarek Klonowski</i>	
Studnia	57
<i>Aleksandra Knap</i>	
Płoną kręgi parmezanu.....	59
<i>Małgorzata Lewandowska</i>	
Zamknij oczy	63
<i>Małgorzata Lewandowska</i>	





Nadmuchani	67
<i>Dariusz Ludwinek</i>	
Nie jestem pewien, czy ona nie żyje	73
<i>Dariusz Ludwinek</i>	
Muchy	77
<i>Anna Musiałowicz</i>	
Trzy siostry. Prawie powieść	81
<i>Tadeusz Oszubski</i>	
Autumna	85
<i>Joanna Pyplacz</i>	
Cisza przeszłości	99
<i>D.A.Recki</i>	
Krew i korzenie	107
<i>D.A.Recki</i>	
Zaginął koteczek	113
<i>Tomasz Siwiec</i>	
Kropla	121
<i>Łukasz Rządkowski</i>	
Szach-mat	123
<i>Maciej Szymczak</i>	
Bar „Malaga”	129
<i>Zuza Wrona</i>	
Galeria	137
Oficjalny plakat Grozownia Festival	148
Program Grozownia Festival – Sala duża	149
Program Grozownia Festival – Sala kameralna	150
Podziękowania	151
Kilka literek od technicznych	152
<i>Agata i Paweł Jackiewicz</i>	

Grozownia jest słowem

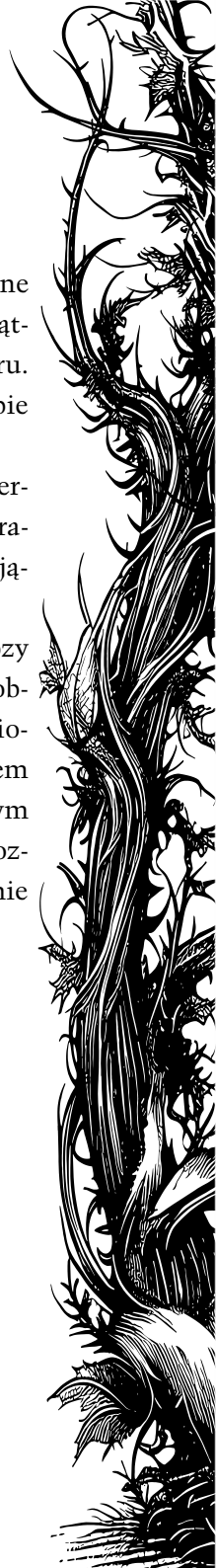
Bogusia Szewczyk

Słowa czarują. Epickie światy, życiowe mądrości, realne emocje – wszystko ma swój załączek w słowie. Bywają początkiem koszmaru, bramą do innego, mroczniejszego wymiaru. Taflą lustra, która pokaże to, co skrywamy głęboko w sobie i boimy się pokazać światu.

Grozowe doświadczenia biorą się z literatury. Z pierwotnego sposobu na przekazywanie sobie niepokojów i strachów. By to powstało, potrzeba wizji, języka i ludzi. Czujących i pomysłów. Kreatorów, architektów, magików.

Kolejny raz bierzemy udział w Grozowni, święcie grozy na wielu płaszczyznach – ekstremalnych, klasycznych, obrzaskowych, nieco filmowych, ale przede wszystkim mówionych. Niech zin, który trzymacie w dłoni, będzie początkiem podróży. Niech będzie przystawką przed daniem głównym (lub deserem, sami zdecydujecie). Oby pozwolił Wam rozsmakować się w literackich światach i kojarzył się pysznie z krakowskim festiwalem.

Smacznego!





Grozownia jest obrazem

Marta Płaza

Grozownia jest obrazem. Gęstym, wielobarwnym, zaskakującym, czasami trochę zabawnym, ale zawsze najstraszniejszym na świecie. Strach się bać? A może strach ma śmieszne oczy? Bez względu na waszą grozową wytrzymałość, odsłońcie oczy i dajcie się zaprosić do podróży w głąb zaskakujących wizualiów — filmowych, wyobraźniowych, przestrzennych, czasami zaskakująco powszechnych. Wszak to jest najpiękniejsza myśl przewodnia kolejnego krakowskiego spotkania miłośników grozy: otwieranie literackich podwoi oraz uwalnianie horroru na świat, by pozwolić mu oddychać i oblepić nas swoimi mackami. Zin, który otwierają te słowa, niech będzie dla was drogowskazem, jak przeżyć w tym bogatym, kreatywnym świecie. Jak pokonać potwora, a może raczej jak go oswoić i oddać mu swoją wyobraźnię bez reszty? Horror to w końcu nie tylko magiczność słowa, ale i plastyczność obrazu. Magia wyobrażonego i zwiualizowanego. Magia wspólnego przeżywania i pochłaniania obrazu z dziecięcym zachwytem, bez względu na metrykę.

Kilka słów na początek...

Dariusz Frenki

Oto trzymacie w dłoniach wyjątkowe wydanie pamiątkowego fanzina, stworzone z okazji festiwalu **Grozownia**, który od lat przyciąga miłośników literatury grozy do serca Krakowa. To właśnie tutaj, na styku historii, kultury i współczesnych lęków, rodzą się niezwykle opowieści.

To coś więcej niż zbiór opowiadań. To zapis pulsującej energii twórczej, która co roku jednoczy autorów, ilustratorów i fanów grozy z całej Polski. Znajdziecie tu historie, które wywołują dreszcze, a jednocześnie zmuszają do refleksji nad tym, co naprawdę nas przeraża. **Grozownia** od samego początku istnienia miała na celu zacieranie granic między rzeczywistością a koszmarem, i te teksty są tego doskonałym przykładem.

Każdy z nich to unikalny głos – od brutalnych, cielesnych wizji, inspirowanych wielkimi mistrzami horroru, po subtelne, pełne napięcia opowieści o tym, co ukryte w ciemnych zakamarkach ludzkiej psychiki. Zbiór ten dowodzi, że groza ma wiele twarzy. Czasem to krzyk, czasem cisza przed burzą, a czasem niepokój, który zostaje z Wami na długo po zakończeniu lektury.

Ten fanzin to również hołd dla festiwalu **Grozownia** – miejsca, które od lat stanowi platformę dla wszystkich, którzy odnajdują piękno w ciemności. Festiwal ten, wraz z jego uczestnikami, przyczynia się do ożywiania kultury horroru w Polsce.

Zanurcie się w te mroczne opowieści i odkrywajcie z nami dziwaczne odmęty ludzkich lęków.

Witajcie w krainie strachu. Witajcie w **Grozowni**.





Ćmy ciągną do światła

Dagmara Adwentowska

– Nie bój się, zostawię zapalone światło – mówiła mama każdego wieczoru, potem całowała mnie i siostrę w czoła, poprawiała kołderki i wychodziła.

Ćmy pojawiały się niedługo po tym, jak przymknęła drzwi. Czasem kilka, czasem kilkanaście. Wpadały przez otwarte okno, podfrwały pod sufit, badawczo obniżają lot i wtedy dostrzegały lampę. Po chwili wszystkie krążyły hipnotycznie w kręgu światła. Zasnęłam wsłuchana w miarowe pacnięcia owadzych ciał, objających się pod kloszem. Rano znajdowałam je nieruchome na stole, z podkurczonymi skrzydłami i odnóżami, bo w końcu każda musiała dotknąć rozgrzanej żarówki i zapłacić życiem za swoje pragnienie światła.


Zgarniałem je na kartkę, przechylałem się przez parapet i wyrzucałem je na zewnątrz. Opadały lekko, jakby nic nie ważyły, osuwały się leniwie w krzewy róż. Wtedy nie dziwiłem się, że ćmy przylatują też w zimie, kiedy leży śnieg, nie pojawiają się żadne inne owady, a okien nie otwiera się na noc. I tylko raz zapytałem, dlaczego rodzice również śpią przy zapalonym świetle.

– Boicie się ciemności? – dodałem swoje przypuszczenie. Sam poczułem, że zabrzmiało jakoś dziwnie.

Ojciec i matka spojrzeli po sobie, po nitce wzroku przebiegły bezsłownie jakieś ustalenia.

– Nie, króliczku. Wolimy po prostu, żeby ćmy ciągnęły do lamp. Nie chcemy, żeby nam jakaś wleciała w nocy do ust – oznajmił tato i uśmiechnął się w sposób, który uznałem za trochę wymuszony. Ale w sumie było to nieistotne.





– A fuj – skomentowałem po chwili i pobiegłem się bawić w mojej ulubionej alejce, ocienionej szpalerem cisów.

Po lewej i prawej stronie, pod falą bluszczu ginęły stare rodzinne grobowce. Niektóre były jak małe domki i gdy nauczyłem się otwierać kłódki wsuwką do włosów podebraną siostrze, chowałem się w środku przed deszczem.

Nasz cmentarz stanowił odrębny świat otoczony murem, zajmował dziesiątki hektarów, ścieżki meandrowały, tworząc trudny do zapamiętania labirynt. Nie dla nas, rzecz jasna. Tata pracował jako grabarz, mama w przycmentarnej kwiaciarni. My z siostrą czuliśmy się na nekropolii jak zwykłe dzieci w przydomowym ogródku.

Może po prostu nie byliśmy zwykłymi dziećmi i pewne rzeczy nie wywoływały w nas zdumienia? Pamiętam, że gdy wybudziłem się pewnej nocy i uniosłem klosz lampy, otoczonej wianuszkami martwych owadów, bo zdawało mi się, że dziwnie syczy – też się nie zdziwiłem, że wewnątrz żarówki coś się porusza.

– Nie przejmuj się, to normalne – mruknął ojciec. – Zmienię ją zaraz.

A ja kiwnąłem głową, wziąłem siostrę za rękę i pobiegliśmy bawić się w chowanego między grobowcami.

Dziś po raz pierwszy przyznałem sam przed sobą, że powinienem był się wtedy jednak zdziwić i zapytać, póki było kogo. Ojciec spoczął obok matki w skromnej mogile pod murem, nie odpowiedzą mi już na żadne pytanie. Siostra wyszła za mąż, wyjechała daleko i nie była tych odpowiedzi nawet ciekawa.

Zostałem z problemem sam i wiedziałem tyle, ile wiedziałem. Trzeba przed spaniem włączyć lampę. A gdy w żarówce coś zaczyna się przelewać – należy ją zmienić. Nie miałem pojęcia dlaczego, ale zaczynałem się domyślać.

Nie wiem jednak nadal, co zrobić z dziesiątkami zakurzonych kartonów, zeskładowanych w piwnicy i na strychu. Wszystkie są pełne starych żarówek, wewnątrz których coś się przelewa, kłębi i stuka o ścianki, buczy gniewnie, choć cichutko.

To zrozumiałe emocje, że czujesz się oszukany, gdy biegiesz w ciemności ku światłu, ma być tak pięknie, a budzisz się uwięziony w szklanej kuli jak gupik, w ławicy innych gupików... Niby humanitarnym wyjściem byłoby rozbicie gromadzonych latami żarówek, ale dalej kołaczą mi się po głowie słowa ojca, że wolimy, aby ćmy ciągnęły do lamp, niż wpęłzały nam między rozchylone we śnie usta.



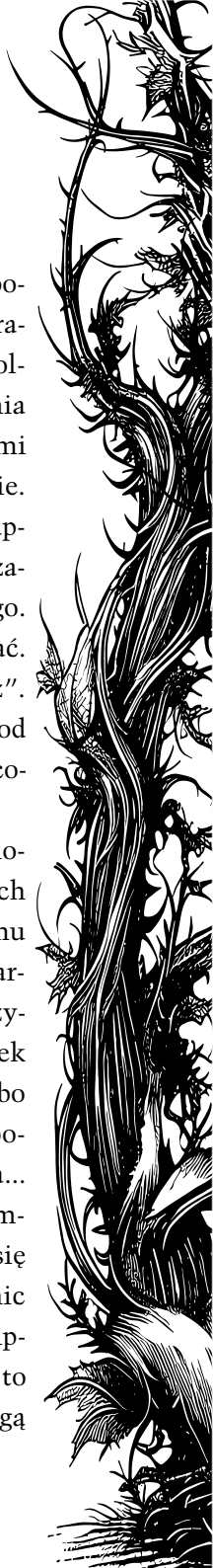


Drzewo poznania

Dagmara Adwentowska

Pierwszym, co zrobiłem po samotnym powrocie z pogrzebu pradziadka, było przecięcie sekatorem kłódki na bramie do ogrodu i odmotanie gordyjskiego wężła z drutu kolczastego. Potem odnalazłem rosnącą w załomie ogrodzenia czarną wiśnię. Rwałem z gałęzi mięsiste owoce i garściami pakowałem do ust. Lepki, gęsty sok spływał mi po brodzie. Żarłem je prawie nie gryząc, łykałem razem z pestkami, łapczywie, niemal nie czując smaku. Przyjemność degustacji zastępowała mi świadomość spożywania owocu zakazanego. Złamałem wreszcie zakazy Starego, a on mi mógł nagwizdać. Nie żył. Ksiądz wygłosił nad nim „i w proch się obrócisz”. Grabarz przykrył go stukilową płytą nagrobną i Stary spod niej nie wypełźnie. Nie przyjdzie tutaj, na swą ziemię-ojcowiznę, by znów coś mi nakazać, a wszystkiego zabronić.

Nic innego tak dobrze mu bowiem za życia nie wychodziło, jak przymuszanie do katorżniczej pracy przy żniwach swych wnuków i prawnuków, skoszarowanych w jego domu na czas wakacji. Zabraniał nam przy tym wszelkich gówniarskich przyjemności, opatrując je konsekwencjami nadprzyrodzonych zagrożeń. Nie męcz kociąt, bo cię zwierzoczłek w nocy z pomsty zadusi. Nie rzucaj kamieni do studni, bo cię król żab porwie. Nie schodź sam do piwnicy, bo tam bobok mieszka. Nie baw się ogniem, bo wywołasz żywiołaka... Wściec się można. Tak skutecznie obrzydził swemu potomstwu pracę na roli, mordęgę bez żadnej rozrywki, że jak się wykopyrtnął, wszyscy prócz mnie nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. Odżegnali się od spadku jak od siedmiu plag egipskich. Ja zaś dobrodziejstwo owe przyjąłem. Teraz to wszystko było moje. Wiśni z drzewa, od którego Stary różgą





nas gonił, obzarłem się do wyrzygania. W kotkę, jego pupilkę, cisnąłem starym wiadrem, w studnię naplułem, a na koniec rozpałilem w piwnicy na ziemniaki małe ognisko z całego pudełka zapalek. Poczułem się wolny. Zaplanowałem, że jutro, jak tylko wrócę do miasta, wrzucę tę ziemię-ojcowiznę na sprzedaż na portalu nieruchomości, aby jakiś deweloper postawił tu dwa tuziny jednakich domków, uwalniając mnie ostatecznie od kieratu bycia kmieciem z pochodzenia i od wspomnień zaprzepaszczonych bezpowrotnie wakacji dzieciństwa.

Teraz, gdy leżę jak trusia w małżeńskim łóżu pradziadka i prababci, pod ich przesłodzonym monidłem i cukierkową wariacją na temat *Ostatniej Wieczery*, gdy moje blade stopy sterczą spod ciężkiej jak grzech puchowej pierzyny, niczym kły wymarłych mamutów... Teraz wypada przyznać, że będę musiał zweryfikować me śmiałe plany. Z zasnutego ciemnościami ogrodu, gdzieś spomiędzy zdziczałych krzewów róż, dobiega mnie odgłos powolnych kroków. Tak chodzi ktoś, kto w środku nocy zbudził się z bardzo głębokiego snu i noga za nogą powłókł się do lodówki w poszukiwaniu czegoś do żarcia. Gdy unoszę głowę, widzę poruszające się chwiejnie sylwetki. Modłę się, by Szkopy, Czerwonoarmiejec i Czort Go Tam Wie, Powsinoga Jakiś, nie odkryli, że furka do ogrodu jest już otwarta.

Stary zawsze nas gonił od tej czarnej wiśni i trzaskał różgami po palcach, gdy tylko nas nakrył w jej pobliżu. Mówił, że to drzewo rodzi owoce dla umarłych, i że jeśli nie chcemy, by po nas przyszli, powinniśmy poskromić apetyty.

– Czterech ich tam pod tym drzewem ręcoma własnymi pochowałem – mawiał Stary, gdy jeszcze żył, a ja, smark głupi, słucałem się go, choć myślałem, że zgrywa się i zmyśla mi na złość. – W czterdziestym piątym dwóch Niemców



zabidzonych, co jajców mi nakradli spod kur w kurniku.
W czterdziestym szóstym Ruska krasnoarmiejca, co mi do
żony przyszedł się dobierać. I w pięćdziesiątym jakiegoś,
czort go wie kogo. Z lasu wylazł łachmyta i po gospodarstwie
kręcił się po nocy. To i zastrzeliłem...





Człowiek w koszulce z krabem

Aleksandra Bednarska

Od dziecka pragnęłam, by mnie zapamiętano. Choć na początek wystarczyłoby po prostu zostać zauważoną. Jak dokładnie? Do tego nie przykładałam już wagi. Ale tak z grubszą chodziło o bycie kimś więcej niż średnią córką Jana i Barbary, mało atrakcyjną sąsiadką oraz inkasentką gazową bez powołania. Jak na ironię, brak tego ostatniego pchnął mnie w kierunku bez powrotu.

– Dzień dobry, czy ma pan chwilę, by porozmawiać o zbawieniu? – uśmiech jak z gumy i nogę w drzwiach widziałam jako gwarancję sukcesu.

Gospodarz wychynął z czeluści przedpokoju, mrużąc oczy. Poskrobał się w podbródek, zmierzwił nieco przetłuszczoną grzywkę i podjął najlepszą z możliwych decyzję.

– Oczywiście! – zaprosił mnie gestem do swojej samotni. – Myślałem, że już nikt dziś o to nie zapyta.

– A często się to panu zdarza? – zbita z tropu entuzjazmem niegodnym sprawy, postanowiłam kontynuować mi się.


– Tak co najmniej dwa razy dziennie – zatarł ręce. – Co nie zmienia faktu, że mógłbym o tym słuchać dosłownie bez przerwy. Do śniadania, obiadu, kolacji... A właśnie! Napije się pani czegoś? Mam pyszną herbatę i domowe ciasto.

– W życiu doczesnym nie ma się co umartwiać... – zaczęłam. – Z wielką chęcią skosztuję!

– Doskonały wybór! – gospodarz wygładził spraną koszulkę z krabem, by przepuścić mnie w drzwiach.

Przedpokój zapowiadał, że wchodzę do świątyni minionych epok. Krzywe wieże kartonów zaklejonych taśmą, kurz wirujący w powietrzu i smród. Taki, jaki panował z reguły





w domach staruszków, którzy nie dbają o porządek ani o siebie.

– Pani wybaczy ten bałagan – zafrasowany gospodarz wskazał schody do piwnicy. – Wprowadziłem się miesiąc temu, a nerwica natręctw, wredna sucz, każe zaczynać od podstaw. Od fundamentów znaczy się, a potem od podziemi... Zdaję sobie sprawę, że nienajlepiej to wygląda. Ale ze swojej strony mogę obiecać, że nie stanie się pani tam krzywda. Ponadto wstawiłem bardzo wygodną kanapę i rozkoszną kolekcję zdjęć szczeniaków ras wszelakich!

– Takiej ofercie grzech odmówić – odpowiedziałam bez wahania. Co prawda nasłuchiwałam się podcastów o seryjnych mordercach, gospodarz wydawał się jednak zbyt mocno wpi-sywać w profil. A ja lubiłam patrzeć głębiej, dostrzegać to, co nieoczywiste, choć na pierwszy rzut oka w ogóle nieprawdopodobne.

– Uwaga, bo ślisko! – człowiek w koszulce z krabem podejrzanie troszczył się o moje bezpieczeństwo.

Piwnica okazała się równie potworna, co zgodna z opisem. Zapadając się w pluszowej kanapie, powiodłam wzorkiem po okratowanych okienkach, ceglanych ścianach i zamkniętych drzwiach. Nie wyglądało to najlepiej, ale sernik z polewą kajmakową, który dostałam do herbatki rzeczywiście oddawał.

– To co z tym zbawieniem? – zagadnął gospodarz, gdy już popiłam parę kęsów ciasta earl greyem. – Interesuje mnie żywotnie, jakie dokładnie są tu zasady gry?

– Otóż liczba miejsc limitowana, więc z dobrymi uczynkami warto się spieszyć – odstawiłam talerzyk i wyrecytowałam na jednym wdechu.

– A ze staniem w kolejce?

– Nie rozumiem.

– No, sama pani twierdzi, że kto pierwszy ten lepszy...
– Poniekąd, bo to też kwestia datków na świątynie, czystości sumienia i...

– Jasne – gospodarz przerwał mi gestem. – A gdybym tak czuł się gotowy zająć swoje miejsce i czekać?

– Samobójstwo raczej wyklucza z kolejki.

– O nie, nie ma o tym mowy!

Wstał i podbiegł do kanciastego kształtu, przykrytego zasłoną prześcieradła. Zerwał je, by ujawnić spójną ze stereotypem prawdę. Klatka podzielona na trzy boksy, w środku wściekle, brudne i zmęczone życiem kobiety w żakietach z poduszkami. Udławiłam się kajmakowym sernikiem. Mogłabym przysiąc, że którąś z nich widziałam na policyjnych plakatach z wizerunkami zaginionych. Zmęczone czekaniem w ciemności, nie okazywały emocji innych niż niema wściekłość.

– Spokojnie, proszę tylko o profesjonalną poradę – uspokoił mnie człowiek w koszulce z krabem. – Czy w pani opinii, jeśli wypuszczę je wszystkie i pozwolę się na sobie zemścić, na zbawienie jest jakaś, choćby odległa szansa?

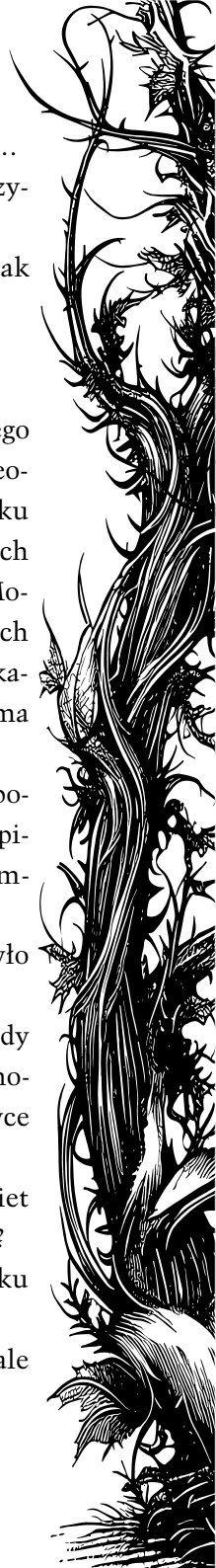
– Znaczy... – przełknęłam ślinę. – Znaczy o ile nie było tu tortur ani znęcania się.


– Nic z tych rzeczy – oburzył się. – Po prostu jak każdy sensowny człowiek postanowiłem zaczerpnąć kilku fachowych opinii. A trzy do czterech to nawet w bieda-statystyce minimum. Mam nawet zgody piśmie.

– Niestety tak... – rzuciła jedna ze smutnych kobiet z klatki. – Czy mogłaby pani z łaski swojej nie przeciągać?

– Nikt bardziej od nas nie chciałby już mieć tego cyrku za sobą – dodała druga.

Trzeciej chyba naprawdę nie chciało się już gadać, ale nadrabiała morderczą miną.





– Zatem w mojej fachowej opinii... – wstałam z kanapy, kierując się do wyjścia. – W mojej opinii coś takiego ujdzie w tło, którym jak wiadomo jest kolejka.

– Doskonale! – ucieszył się człowiek w koszulce z krawatem. – W takim razie jest pani wolna i serdecznie dziękuję za podjęcie za mnie tej ważnej decyzji. Od progu dostrzegłem, że mam do czynienia z kimś, kto stanie na wysokości zadania.

– Tak... – nacisnęłam kłamekę. – To do widzenia panu!

– Do zobaczenia raczej – poprawił mnie i zadzwonił kluczami od klatki. – W kolejce po zbawienie.

Zamiast odpowiedzieć wybiegłam, nie oglądając się za siebie. Pokonałam śliskie stopnie i slalom z kartonów w przedpokoju w rekordowym tempie. Nie zatrzymałam się, dopóki nie trzasnęła za mną zamykana pośpiesznie furтка. Tuż za nią wybrałam telefon alarmowy. Po komunikacie, że na linii czeka jeszcze dziesięć innych osób, pobiegłam w stronę skrzyżowania. Dopiero gdy tam dotarłam, zdyszana i ledwie żywa ze strachu, dotarła do mnie prawda. Cokolwiek właśnie miało miejsce, zostałam wreszcie doceniona i zauważona.

– Jak mogę pomóc? – dobiegło mnie ze słuchawki w uchu.

– Mnie już nie trzeba – odparłam zgodnie z prawdą. – Ale w piwnicy domu przy Traugutta 5 znajdziecie państwo coś... Zresztą to trzeba samemu zobaczyć.

Rozłączyłam się i poszłam dalej pytać ludzi, czy mają czas porozmawiać o zbawieniu. Nie myślałam, że to się wreszcie zdarzy, a jednak... Dopiero tydzień w nowej pracy, a już znalazłam powołanie.





Chrzanić okazje

Norbert Góra

Takich okazji się nie przepuszcza. Wyglądający na antyczny zegar z kukułką i to za dychę! Sprzedawca na pchlim targu wyglądał na porządnie szurniętego, ale to mnie nie zniechęciło. Zawsze wiedziałem, że okazje pojawiają się wtedy, gdy najmniej się tego spodziewasz.

O północy byłem już innego zdania. Kukułka pojawiła się tylko dwa razy. To, co wyszło z zegara za trzecim razem, przeraziło mnie do szpiku kości. Bezkształtna czarna postać z ohydnyymi białymi oczami i zakrwawionymi ustami.

– Zapomniałem o czymś – szepnęła lodowatym, niskim głosem i uśmiechnęła się.

Potem szeroko otworzyła usta i wydała z siebie kukułczy odgłos.

Chrzanić okazje, pomyślałem i zemdlałem.



Ali

Michał Górzyna

Gliwice

Egzotyczna roślinność skrywała alejkę, którą skradali się dwaj mężczyźni. Wąskim promieniem latarki omiatali okolicę w poszukiwaniu małego stawu. Wysoka temperatura coraz bardziej dawała się we znaki. Wacek zerwał kominiarkę.

– Co robisz jełopie? – syknął Grzesiek.

– Nie wytrzymam w tej szmacie, zaraz mózg mi się zagotuje – warknął Wacek.

– A jak cieć się obudzi?

– Nie obudzi. Leży nawalony w kanciapie, a poza tym ciemno jest.

Światło latarki natrafiło na powierzchnię wody.

– Jest – szepnął Grzesiek.

– To dobrze. Muszę się trochę ochłodzić – powiedział Wacek, zanurzając dłoń w stawiku.

Poczuł silny ból. Wyszarpnął rękę z wody. W jego palec wgrzyzło się jakieś stworzenie.

– Złapałeś piranię! – rozradował się Grześ.

Niestety Wacek nie wyglądał na zadowolonego.


– Aaa, puszczaj, AŁAA! – krzyczał, gwałtownie potrząsając kończyną, ale rybka nie chciała spełnić jego życzenia.

Drzwi otwarły się z impetem i do pomieszczenia wtoczył się stróż.

– Ccco ttu się wypraaa...!

Stróż poślizgnął się i wpadł do zbiornika. Woda wokół niego zakotłowała się, a po chwili zmieniła barwę na czerwona.





– Wyciągnijcie mnie! Błaagam, błaagaaaaam! – wył mężczyzna.

– Spierdzielamy stąd – zawołał Grzesiek.

Stary golf stał na ciemnej ścieżce w gliwickim lesie. W jego wnętrzu, oświetlonym sufitową lampką, majaczyły dwie sylwetki.

– Uff, w końcu mnie puściła – sapnął z ulgą Wacek, wrzucając rybę do dużego słoika wypełnionego wodą.

– Cholerka, przez tego dziadka z Palmiarni mamy tylko jedną, a zamówienie było na dwie – narzekał Grzesiek.

– W sumie to mi go trochę żal.

– Ty się lepiej módl, żeby nie przeżył, bo mógłby cię rozpoznać. Ja bym się bardziej martwił o piranie. Jak się nażrą tak nasączonego wodą mięsa, to mogą pozdychać.

* * *

Całe pomieszczenie wypełnione było przeróżnymi szklanymi pojemnikami. Znajdowało się w nich wszelkiego rodzaju plugastwo: pełzające, pływające, obslizgłe, włochate, a przede wszystkim jadowite.

– Kurde, nie mógłbym tu mieszkać – skwitował Wacek, rozglądając się niepewnie.

– Kwestia przyzwyczajenia. Dzięki za rybkę chłopaki. To rzadki okaz – powiedział Szczurek, który zawdzięczał swoją ksywę charakterystycznemu zgryzowi.

– W sumie to powinienesz nam dopłacić za pracę w warunkach szkodliwych. Wacek o mało nie stracił palca – odparł Grzesiek.

– Nie moja wina, że wsadzał go tam, gdzie nie trzeba. A propos kontuzji, to przypomniała mi się niezła historia. Jeden z moich kumpli lubił się kąpać z rybkami akwariowymi.

– A fee! Po kiego grzyba? – zapytał Wacek.

– Mówił, że ceni bezpośredni kontakt z naturą, hłe hłe. Pewnego razu wpuścił sobie do wanny okazy nie z tego akwarium co trzeba. Między nimi zaplątała się kandyra. To taka mała rybka, która potrafi wpłynąć do ludzkiej cewki moczowej. Niestety wypłynąć już nie potrafi. Usunąć ją można tylko operacyjnie. I ta oto kruszynka zacumowała w jego przyrodzeniu. Musieli chłopakowi amputować ptaszka, hłe, hłe. Był chłop, CIACH i nie ma chłopą, hłe hłe, hłe.

– Masz może taką rybkę? – zapytał Wacek.

– Nie, a co?

– Wpuściłbym mojej teściowej do kąpieli, hehe.

– Przestańcie, bo zaraz puszcze pawia – powiedział Grzesiek i wyszedł.


* * *

Kraków

Ciszę tonącej w półmroku jaskini zakłócił gwar przekomarzających się głosów. Dwóch wyrostków popisywało się przed skąpo odzianymi, chichoczącymi małolatami – lalkowatą blondyną i wysoką brunetką.

Jeden z nich, chudy, przyszczaty rudzielec, wyśmiewał się z idącego obok mięśniaka z krótkimi, nażelowanymi włosami. Relacjonował historię, w której jego kumpel, pijany, pełzając po krzakach zgubił spodnie i majtki, a później, gdy się ocknął, myślał, że został zgwałcony. Kumpel odciął mu się opowiadając, jak to przyszczaty wcinał ze smakiem rzygi jakiegoś Kamila, myśląc, że to bigosik. Na to blondynka wspomniała koleżance, że kiedyś całowała się z owym





amatorem cudzych rzygowin. Brunetka broniła się, że przecież było to na innej imprezie.

Głośny ryk przerwał ich konwersację. Dziewczyny zaczęły piszczeć ze strachu. Zza skalnego wyłomu wyskoczył niski grubasek.

– Ale was zrobiłem! Szkoda, że nie widzieliście swoich min – zaśmiewał się.

– Tomek, ty to masz nieźle nasrane we łbie – ofuknął go rudzielec.

– Sam się o mało co w gacie nie zesrałeś, hłe hłe – odparł grubas, klepiąc go po plecach.

– Ale się wystraszyłam – powiedziała blondynka.

– A co, myślałaś, że smok przyszedł pożreć dziewicę? – zażartował Tomasz.

– Oj, to by się nieźle naciął – zakpił mięśniak.

– Bardzo śmieszne. A tak w ogóle to czytałam, że tutaj nigdy nie było żadnego smoka – zripostowała brunetka.

– Jak to nie? Był i jest. Zaraz ci to udowodnię – krzyknął tłuścioch.

Podszedł do jednego z szerokich, okrągłych otworów, widniejących w skalnej ścianie i wsadził do niego głowę.

– Smoku, smoczku, gdzie jesteś? Kici, kici – wołał grubasek. Jego słowa zakończył krótki wrzask, który szybko przeszedł w bulgotliwe rżenie. Ciałem chłopca wstrząsnęły konwulsje. Obute w podróbki adidasów stopy dziko ryły podłoże.

– No nie, znowu się wydurnia. To już staje się nudne – skomentowała brunetka.

Grubas znieruchomiał i upadł na ziemię. Z jego pozbawionej głowy szyi rytmicznie tryskał krwawy gejzer. Pozostali przy życiu nastolatkowie w panice rzucili się w kierunku widniejącego w oddali wyjścia z jaskini.

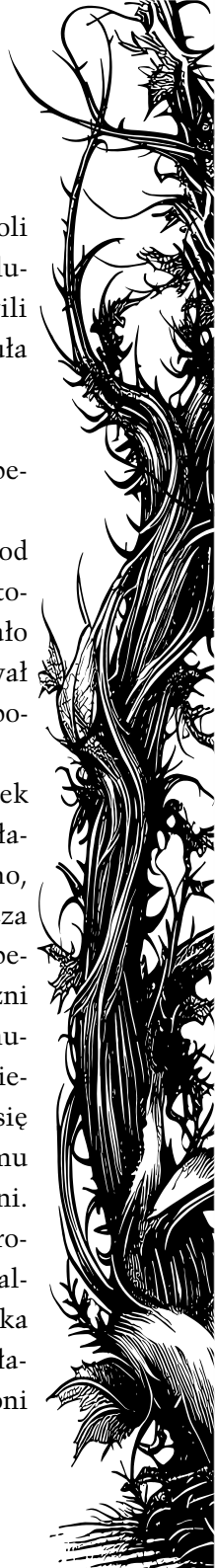
Na dnie małego zbiornika pojawiło się światło. Powoli przybliżało się do powierzchni. Nurek wynurzył się z płuskim. Omiótł latarką ściany małej skalnej groty. Po chwili z wody wypłynęły kolejne dwie osoby. Jedna z nich wypłuła ustnik akwalungu i zaczęła kasłać.


– Cicho, bo nam go spłoszysz – syknął Grzesiek.

– Raczej do płochliwych nie należy, skoro odgryzł łepotyńcę temu gimbusowi – dodał Jurek.

Z gazet dowiedzieli się, że wczoraj w Smoczej Jamie pod Wzgórzem Wawelskim została zaatakowana grupka nastolatków. Jeden z nich dosłownie stracił głowę, co wskazywało na dużą siłę napastnika. Czyżby w grodzie Kraka grasował brutalny morderca, a może legenda ożyła i pod Wawelem pojawił się prawdziwy smok?

Jak przystało na rasowych łowców przygód – Wacek i Grzesiek postanowili to sprawdzić. Gdyby udało im się złapać smoka, staliby się sławni na całym świecie. A wiadomo, że sława to kasa, kobitki, itp. Niestety po wypadku Smocza Jama została zamknięta. Niebawem miała ją zbadać specjalna ekipa, w której obok śledczych mieli znaleźć się różni specjaliści, paleontolodzy, speleolodzy i weterynarze zajmujący się egzotycznymi zwierzętami. Czasu na pojmanie zwierza było więc niewiele. Na szczęście chłopakom udało się skontaktować z Jurkiem – grotolazem, który jakiś czas temu brał udział w wyprawie, mającej na celu zbadanie tej jaskini. Okazało się, iż odkrył wtedy odgałęzienie Smoczej Jamy prowadzące wprost do Wisły. Poruszony perspektywą ewentualnych korzyści, zgodził się być przewodnikiem Grześka i Wacka. Zaopatrzeni w karabin do usypiania zwierząt, z ładunkiem będącym w stanie powalić małe stado słońi





i w pojemnik z gazem pieprzowym na niedźwiedzie, ruszyli na spotkanie z nieznanym. Grzesiek miał też przywiązaną do nogi pochwę z krótką maczetą.

Początkowo korytarz był tak wąski, że trzeba było w nim pełzać. Z biegiem czasu wznosił się ku górze i rozszerzał na tyle, by mogli iść wyprostowani. Czujni i spięci, nie natrafiwszy na żadne ślady bestii, stopniowo się rozluźniali.

– Jeśli tu coś było, to już dawno spierniczyło – sapnął Grzesiek.

– Dobra, robimy przerwę na ziółko – powiedział Jurek.

Wacek usiadł na występie skalnym, wyciągając przed siebie nogi.

– Trochę lipa, chciałem se zrobić takie fajne zdjęcie na fejsbunia, jak trzymam stopę na łbie smoka, a w ręce maczetkę. Laski waliłyby drzwiami i oknami – powiedział przytykając benzynową zapalniczkę do skręta.

Wtem z ciemności wystrzeliła zielonkawa paszcza, uzbrojona w wielkie, szpiczaste zębiska. Zatrzasnęła się na nodze Wacka, ciągnąc go w głąb korytarza. Chłopak darł się jak opętany, kurczowo zaciskając dłonie na skalnym występie. Spanikowany Jurek prysnął strumieniem gazu w kierunku szarpanego przez bestię kolegi. Gaz zapalił się od upuszczonej przez Wacka zapalniczki. W tym samym czasie Grzesiek celował z karabinu w głowę potwora. Gdy buchnął płomień, odskoczył przerażony. Potykając się, odruchowo nacisnął spust. Strzałka ze środkiem usypiającym utkwiała głęboko w oku Jurka. Spanikowany Grzesiek uciekał, odbijając się od ścian. Wbiegł w jakieś odgałęzienie korytarza, które wcześniej musieli przeoczyć. Nagle stracił grunt pod nogami. Po bardzo krótkim locie zderzył się z podłożem. Ktoś skierował na niego strumień światła.

– Stój, nie ruszaj się! Co tutaj robisz?

- Otaczało go kilku ochroniarzy.
- Ratunku! Goni mnie smok wawelski. Zabił moich kolegów – wrzeszczał Grzesiek.
- Dobra, zabieramy tego ćpuna na górę – wydał polecenie jeden ze strażników.

* * *

Godzinę później Grzesiek siedział w sali przesłuchań, maglowany przez grubego policjanta. Na oddzielającym ich biurku leżały znalezione przy chłopaku rzeczy. Między innymi ostra maczeta.

– No i po co ci to było? Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał przesłuchujący.

– To nie ja. To smok! – bronił się Grzesiek.

– Taa. Smok odciął jednemu głowę, drugiemu nogę, a trzeciego postrzelił w oko? Was to już całkiem pojebało. Teraz gonicie się już nawet po jaskiniach? – warknął policjant.

– Nie rozumiem – odpowiedział Grzesiek.

– Nie rźnij głupa. Komu kibicujesz?

– Ja nie jestem kibicem, tylko...

– Tylko psychopatą, zarzynającym każdego, kto się nawinie, hę? – przerwał mu grubas.

– Niech mi pan uwierzy. Nie jestem mordercą, chcieliśmy tylko złapać smoka wawelskiego – rozplakał się chłopak.


– Przestań mi tu pieprzyć o jakichś smokach!

Do pokoju wbiegł zdyszany policjant.

– Przepraszam, ale to bardzo ważne.

– Wiesz, że bardzo nie lubię jak mi się przeszkadza – fuknął oficer. – O co chodzi?





– Właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że z Wisły, nieopodal Smoczej Jamy, został wyłowiony wielki aligator!

– A nie mówiłem, że to nie ja?! – wrzasnął Grzesiek.





Płynna linia frontu między mną a resztą


Dawid Kain

– Płuca Polski stanęły w ogniu – stwierdziła nienaturalnie blada pani na ekranie, dżgając mapę kraju w okolicach północno-wschodnich, a mnie w tym samym momencie przeszył ból nie tyle w sercu, co nawet głębiej, gdzieś za nim, jakby to w moje ciało telewizyjna ekspertka wraziła właśnie coś na kształt rozgrzanego pogrzebacza.

Nie mogłem uwierzyć w to, co się działo, mimo że ból zwykle nie kłamał. Istniały wprawdzie tak zwane fantomowe bóle, echa cierpień, których doświadczaliśmy wiele lat wcześniej, niekiedy tyczyło się to nawet tak zwanych poprzednich wcieleń. Niejeden współczesny krztusił się i kaszłał przez Oświęcim, niejedna współczesna czuła nagłe uderzenia gorąca, jakby dawne stopy nigdy nie przestały płonąć. Każda trauma wracała jak bumerang – co odrzuciło od siebie jedno pokolenie, tym kolejne dostawało potem w potylicę.

Nie trzeba zresztą szukać daleko – jeden z moich sąsiadów, po części alkoholik, po części mitoman, twierdził, że jego głównym problemem wcale nie jest wątroba, nawet jeśli już po ćwiartce czuł się, jakby sęp wyjadał mu ją na żywca. Nie, jego zdaniem była to wszystko wina baby. Nie tylko tej jego, która odeszła, zabierając manatki i dzieciaka, ale również każdej wcześniejszej: ich matek, babek, prababek i tak dalej, aż do początku dziejów. To paraliżujące klucie, przewiercające mu trzewia już po kilku łykach czystej, było spowodowane brakiem, bolesnym ubytkiem żebra, z którego ulepiono Ewę. Sąsiad nie miał wątpliwości – każdy z mężczyzn do dziś płaci najwyższą cenę za pochopne decyzje Boga. Mówił o tym głośno na ulicy i na klatce schodowej,





krzyczał o tym przez okno i nawet wspinając się na dach naszego bloku, ostatniego dnia. Śmiano się później, że było to jego kazanie na gorze. Jestem pewien, że spadając tym bardziej nie zmienił zdania, bo znacznie łatwiej się zabić, niż wsadzić kij w tryby, które nas napędzają.

Sąsiad miał na pewno rację co do jednego: każdy płaci najwyższą cenę.

– Płomienie niosą się ze wschodu na zachód – ciągnęła pani, którą wysoka rozdzielczość wyświetlacza czyniła istotą bardziej realną ode mnie. – Czasem pojawiają się znikąd, następują anomalie w rodzaju spontanicznego samozapłonu. We Wrocławiu widziano płonącą żyrafę, w Łodzi namiot cyrkowy w ciągu paru sekund obrócił się w popioł. Specjaliści zalecają, by pić dużo wody. Osobom starszym powinny podawać ją dzieci, koniecznie w szklankach, bo właśnie z myślą o tym wielu ludzi w ogóle zdecydowało się na potomstwo. Oddaję głos...

Jako że okno ekranu nie zawsze jaśniało prawdą, postanowiłem na własne oczy sprawdzić, czy sprawy faktycznie mają się aż tak źle. Wyszedłem na balkon i skierowałem wzrok na horyzont, chcąc mieć stuprocentową pewność, czy granica między mną a światem zatarła się zupełnie, czy tylko w niewielkim procencie.

Czerwona luna objęła we władanie znaczną część nieba, resztę pokrywały gęste chmury w kolorze popiołów. Miasto w dole było stare, zmęczone, popękane, co potrafiłem zrozumieć, również mając najlepsze lata za sobą. Ulice Krakowa wydawały się bezлюдne. Ucieszyło mnie to w duchu, bo jednak nasza cywilizacja należała do kategorii urojeń, z którymi nie do końca potrafiłem się pogodzić. Lecz nie byłem na tyle naiwny, by uwierzyć, że jednej nocy wszyscy wyginęli czy

może wyparowali, tylko po to, by zrobić mi trochę miejsca na tej smutnej planecie. Powód musiał być inny.


Wróciłem do środka i zmieniłem program. Niewiele mi to dało, na innych wcale nie było lepiej. „Armia chińsko-rosyjska szturmuje granice...”, „...ja tam we fakty nie wierzę, wszystko jest spiskiem i tyle”, „...te firmy proponują nam ucieczkę w barwny świat wirtualu, gdzie na przykład pornografia...”, „...igły i strzykawki nie dla mnie, ja od małego do nosa wciągałem, nawet grysik i kaszkę...”, „...no to jest po prostu ideologia, z braku lepszego słowa...”, „...Nikt mi nie wmówi, że jest życie poza Roblokiem i Minecraftem, no błagam...”, „...jako w Niebie, tak i na Ziemi”.

Ostatnie zdanie podsunęło mi myśl, że może nasz obecny bajzel stanowi odbicie jakiegoś boskiego nieporządku. Może i jest to odbicie w krzywym zwierciadle, ale zawsze. Co to jednak za pocieszenie, skoro od dwóch tygodni nie wychodziłem za próg mieszkania, co najwyżej z siebie? Nie miałem jak sprawdzić, kto kłamie, a kto mówi prawdę, w tym paradoksie to ja byłem oszustem, wybierając na chybił trafił te iluzje, które akurat spodobały się mojej lewej półkuli.

Wyłączyłem ekran, zasłoniłem okna, położyłem się na podłodze, w ciemnościach, nagle stęskniony za dziecięcym odcięciem od problemów świata zewnętrznego, a nawet za okresem wcześniejszym, płodowym, gdy wszystkie media w mojej ciasnej, wąskiej kawalerce dostarczano jedną solidną rurą, wpiętą prosto do mojego brzucha. I było wtedy jakby lepiej, niż bywało później, a na pewno cieplej i przyjemniej, mimo że wybór nie istniał, a może właśnie dlatego.

Leżałem, myśląc, jak gdzieś tam nieustannie się toczą: wojny, planety, losy ludzkie i nieludzkie. Zastanawiałem się, co mógłbym zrobić, by to wszystko zatrzymać.





Ale rozpędzona wyobraźnia nie tylko nie chciała zahamować, ona nie zamierzała nawet odrobinę zwolnić. Logika ciągu zdarzeń sugerowała, że wcześniej mogło być jeszcze ciepłej i jeszcze przyjemniej, niż w brzuchu rodzicielki, nie tyle przed moim poczęciem, co przed jakimkolwiek poczęciem...

Dawno, dawno temu, może nawet najdawniej, jak tylko można sobie wyobrazić, początek minus jeden, zupełnie przed przestrzenią i czasem, wtedy gdy... Wtedy gdy byłem tylko kulą nienazwanego światła i nie było niczego poza zamkniętym obiegiem moich myśli. Wszystko co istniało, istniało we mnie, bo nie było wtedy jeszcze żadnego „na zewnątrz”. Śniłem o sobie samym, próbującym wyśnić cały wszechświat. A im głębiej śniłem, tym bardziej byłem przekonany, że tylko sobie przypominam, bo tamte początki nie były wcale mniej prawdziwe od tego co teraz, wręcz przeciwnie.

Potem było mi już tylko gorzej, zimniej, bardziej samotnie, mimo że występowałem w liczbie mnogiej. To kazało mi myśleć, że tak graniczna przyjemność, tak graniczne ciepło miało jakąś cenę, niesło konsekwencje. I to wszystko, co stało się potem, stało się przeze mnie. Każda rzecz.

Musiałem w końcu znudzić się byciem tym świetlistym kłębkim w nieskończonym kokonie ciemności, otworzyć oczy, usta i głowę, wypuścić słowa, cząsteczki, fale, a potem resztę... jednokomórkowce, ludzi... wojny, plagi, wirusy!

A zatem ten ciężar, który teraz... to nie grawitacja, przyniatała mnie odpowiedzialność. Bo przecież... od słońc po płomienie, od próżni po bezmyślność... wszystko ja, za każdym razem. I teraz te lasy w ogniu na północno-wschodnich granicach, zielone płuca Polski, i te moje, co bolą tylko czasem, te brednie i kłamstwa z ekranów i zza okien, i moje

myśli, że trzeba już to przedstawienie kończyć, opuścić kurtynę. Te choroby i śmierci, łyse dzieci w szpitalach, wyłyśnięte księżycy i asteroidy, to wszystko od początku do końca... to też ja. Z nudów.

Tyle rzeczy, przez tak długi czas. To śmieszne, naprawdę, chociaż chciało mi się płakać. Ale nie, żadnych łez, muszę się kontrolować, bo potem jeszcze powodzie i rodziny bez domów, w błocie. Ani tym bardziej żadnych spazmów śmiechu, bo trzęsienia ziemi w innych częściach globu i tyśiące ofiar. Więc nic, już zawsze nic. Tak będzie bezpieczniej. Pusta głowa na chłodnej podłodze.

Pamiętasz przecież, jak nie chciałeś zakląć i tylko powiedziałeś światu: a niech cię choroba...? No właśnie. Potem miliony ofiar we wszystkich zakątkach globu. Nie jest ci głupio? Nie wątpię.

Więc nic już nie mów, nie myśl, nie pisz. Twoim wzorem niech będą kamienie, nie wymyślono nic doskonalszego. Wszystkie jakoś trwają, trzymając język za skalami. Mają historie i to ciekawsze od wielu mięsnych lalek, wciąż płasających w bańkach urojeń. Żaden się nie chwali, na głos ani w mediach społecznościowych, w jakich to lawinach uczestniczył, w kogo nim ciskano, zanim Nazarejczyk stwierdził, że nie wypada, jakich murów nie wznosił i jakim rzekom nie nadawał biegu.

Zanim więc zamilknie i skamieniejesz, pamiętaj, że każdy powinien po prostu trwać w ciszy i spokoju, zamiast ciągle wołać, jaką to niezwykłą planetę tworzy on i jemu podobni, i jak bardzo tym swoim istnieniem zagięli czas, przestrzeń i siebie, i wszystko, co mógłbym jeszcze dodać.





Notes

Maciej Klimek

Zniekształcony refleks jego odbicia sunął niczym bliźniak pod jego ciężkim krokiem. Zaspany, nie patrząc nawet zbyt, w którą stronę stawia kroki, rozmyślał o kuszącym rozkopanym prześcieradle i bijącym ciepło leżącej obok Beaty.

Praca ochroniarza w największej galerii województwa nie była szczytem jego ambicji, ale dzięki niej nie musiał przynajmniej narzekać na swój poziom życia. Niedawna przeprowadzka do Rzeszowa bardzo nadszarpnęła ich wspólny budżet, toteż doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może wybrzydzać i zgadzał się również na weekendy. Walcząc ze zmęczeniem i zamykającymi się powoli powiekami, wyciągnął rękę z plastikowym kubkiem i szybko wypił resztkę parującej kawy.

– Zero jeden, zero jeden. Zgłoś się – zaskrzeczała nagle przypięta do pasa motorola.

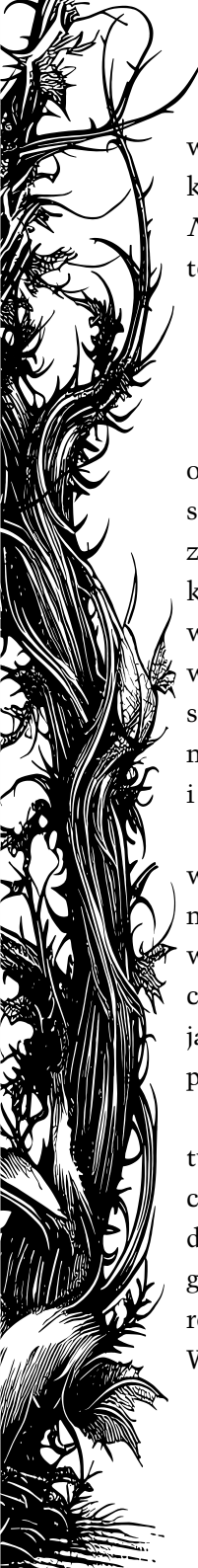
– Tu zero jeden. Zgłaszam się – odpowiedział szybko.

– Na dole wszystko gra, możecie otwierać główne drzwi.

– Zrozumiałem. Możesz kończyć obchód i wracać na górę.

Kierując swoje kroki w stronę drzwi z napisem „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”, myślał tylko o tym, jaki jest zmęczony i poturbowany ostatnimi miesiącami. Ciężka wyprowadzka z domu rodzinnego, ból, a teraz jeszcze narastające kłótnie z ukochaną kobietą, odbierały mu chęci do dalszej walki i sprawiały, że popadał w coraz większe odrętwienie. Jedynie kochana literatura grozy była jasną latarnią w jego życiu i wabikiem, który przyciągał go ku jasności. Wielu nie rozumiało tej fascynacji mrokiem, jednak on nie





wyobrażał sobie nawet jednego dnia bez kontrolowanej dawki strachu i dobrej lektury. Po raz kolejny trzymając w ręku *Nawiedzono* Jamesa Herberta, rozsiadł się wygodnie w fotelu i oddał do reszty lekturze.

* * *

Patrolując właśnie pierwsze piętro, przypomniał sobie o najważniejszej rzeczy, której jeszcze dziś nie zrobił. Zganił się w myślach, tym bardziej, że przez nawał obowiązków nie zaglądał tam od tygodnia. Mijając po drodze znudzonych klientów, rozwydrzone dzieciaki i jeszcze bardziej zblazowaną młodzież, stopniowo kierował się w stronę nietypowego wcięcia w ścianie tuż przy Croppie. Jak zawsze z szybszym biciem serca, stanął przed sporych rozmiarów drewnianym regałem, na którym z dumą przeżyły się stopy książek i czasopism.

Wspaniałe. Jak zawsze wspaniałe – pomyślał. Nie był pewien, kto wymyślił ideę tak zwanego „bookcrossingu” jednak wiedział, że będzie mu wdzięczny do końca życia. Obcowanie z literaturą to najwspanialsze doświadczenie w życiu człowieka i cieszył się, że nawet tak niewdzięczna klientela jak ta z „Millenium” w końcu doceni dar, jaki przed nimi postawiono.

Uśmiechając się do siebie, potoczył palcami po wytartych grzbietach. Wyciągał i chował kolejne egzemplarze, kręcąc głową, aż spojrzał na najwyższą półkę, która jeszcze niedawno świeciła pustkami. Serce mu na moment zamarło, gdy ujrzał swoje ukochane „Phantom Pressy” i „Amber horror”, a obok nich, jak gdyby nigdy nic *Nie ma wędrowca* Wojtka Guni. Drżącymi palcami sięgnął po grzbiet



charakterystyczny dla C&T, a następnie, już pewniej, złapał go ręką i pociągnął w swoją stronę.

Wtedy poczuł, jak coś lekkiego upada pod jego robocze ciuchy. Szybkim i wyuczonym ruchem wieloletniego zbieracza książek schylił się i ze zdziwieniem odkrył, że patrzy na czarny, gdzieniegdzie popękany notes z jaskrawym okiem na okładce. Miewał w rękach więcej książek, niż był w stanie zliczyć, jednak ten notes był po prostu dziwny. Spoglądał w wiernie oddany przez grafika oczodół i zastanawiał się, gdzie już widział ten symbol. Z rozmyślań twardo wyrwał go dźwięk krótkofalówki.

– Zero jeden, zero jeden, zgłoś się – usłyszał.

– Zero jeden, zgłasza się – potwierdził.

– Podejdź na chwilę do pomieszczenia socjalnego. Mam ci do przekazania aneksu.

Chowając książkę pod pachę pomyślał, że może jednak nie będzie to taki zły dzień, jak zakładał.


* * *

Odczytując pocztę, wrócił myślami do dzisiejszego znaleziska. Beata zabrała się gdzieś do koleżanki, więc w końcu miał chwilę na bliższe zapoznanie się z notesem. Wychyliwszy się z fotela, złapał za kurtkę i szybkim ruchem wyciągnął czarny przedmiot. Studiując ręką poszarpaną strukturę przedmiotu, w jednej chwili poczuł się zupełnie tak, jakby stał przed rozkopanym grobem.

Oczami wyobraźni zobaczył na moment wykrzywionego w agonalnym krzyku nieboszczyka, który wskazywał starczym palcem w jego stronę.

Krzyknął i upuścił notes na podłogę.





– Cholera, chyba ostatnio czytam za dużo tych dziwnych historii. Zwykły notes, a ja się zachowuję, jak przerażone dziecko na swoim pierwszym horrorze.

Biorąc znalezisko do ręki, zastanawiał się, jak mógł się tak zachować. Nagle oko wydawało mu się tanim żartem i tandetą z Chin, jakich teraz sporo w sklepach.

Otworzył pierwszą stronę i zamarł na moment. Całą powierzchnię kremowych kartek pokrywała siatka dziwnych spirali i naprzemiennie krzyżujących się linii. Chaos, który wdarł się mocą do jego oczu, tworzył przed nim dziwne, wirujące kręgi i obślizgłe, wijące się czarne plamy, które migotały w tle nocnej lampy obok biurka. Zafascynowany i jednocześnie ciężko przerażony, przewracał kartki tylko po to, by odkryć, że każda kolejna wije się w taki sam sposób. Eliptyczne kręgi mamły go, przyciągały i w pewien nieopisany sposób sprawiały, że chciał tam przepaść. Na moment wyobraził sobie, jak idzie do kuchni, sięga po ostry nóż i z wprawą rzeźnika krwawo kreśli kolejne kręgi. Dygocząc, rzucił trzymany w rękach notes i usłyszał plaśnięcie, które mogłoby być zarówno spadającą do zlewu ścierką, jak i ciałem, zderzającym się z twardym asfaltem ulicy.

* * *

Zastanawiał się, przecierając głowę, nad sensem wydarzenia dzisiejszego dnia. Nie wierzył, że widział jakieś linie, tak samo jak czuł, że trumna z nieboszczykiem była tylko efektem przepracowania jego mózgu. Zwykłe, nawet ciemne notesy nie mają w sobie żadnej mocy, a już w szczególności te, które są gęsto popisane przez jakiegoś obłąkanego. Sięgając po ręcznik, obiecywał sobie, że jutro odniesie go na miejsce i zastanawiał się, po co u licha go ze sobą zabrał.

Wyciągnął z wanny korek i wziął się za szorowanie zębów. Patrząc tępym wzrokiem w swoje podkrążone oczy, zastanawiał się, kiedy jego życie aż tak się posypało. Już miał wyciągnąć szczoteczkę z ust, gdy poczuł nagle szarpnięcie w środku. Plując, spojrział w umywalkę i ujrzał coś, co już na zawsze miało zapisać się w jego pamięci. Obok jednego z pokrytych krwią trzonowców, jak gdyby nigdy nic leżała wijąca się larwa. Pokryta mieszką krwi, śluzu i pasty nagle zniknęła w małym odpływie, zostawiając nad sobą widok zszokowanego człowieka.

– Tato – usłyszał za sobą. – Tato – coś powtórzyło szepcąc.

Z zakrwawionymi ustami spojrział w stronę dźwięku. Poczuł, jak miękną mu nogi, gdy uświadomił sobie, że dziwny głos wychodzi z odpływu. Zbliżył się do kotary zasłaniającej wannę, bojąc się tego, co tam ujrzy. Śmierć najważniejszej osoby w jego życiu to jedno, ale omamy to zupełnie inna sprawa. Prawie zerwał zasłonę i spojrział na odpływającą wodę, która układając się w idealnie kulisty kształt, wydawała z siebie bulgot, przypominający gardłowy krzyk, połączony z piskiem klocków hamulcowych jego toyoty.

Zrywał się z miejsca, całym sobą czując wyrwijące się z klatki piersiowej serce. Nie patrząc, gdzie stawia bose stopy, z całym impetem wpadł do kuchni. Wyszarpał największy nóż i płacząc z bezsilności, skulił się w kącie między szafkami. Modląc się do wszystkich znanych bogów, nasłuchiwał w ciszy dziwnych dźwięków, gdy nagle uświadomił sobie, że za sobą słyszy miarowe stukanie w szybę. Głośno sapiąc, złapał się za poręcz szafki i wstał, unikając po drodze zderzenia z otwartą szufladą. Ostatkiem sił powstrzymywał się, by nie zwrócić głowy w stronę stukania, jednak bezskutecznie. Tuż za szybą i jasnymi firankami dziko uśmiechało





się do niego coś, co jeszcze nie tak dawno temu mogło być człowiekiem, a teraz przypominało raczej monstrum spod pędzla Beksińskiego. Dziwnie podobna do spirali postać wykręcała w jego stronę długi paznokieć, zdając się krzyżeć coś w sobie tylko znanym języku. Ostatnim, co zobaczył, była siatka pęknięć, stopniowo powiększająca się, niczym kręgi na tafli jeziora.

* * *

Zerwał się z krzykiem, odrzucając przed siebie pościel. Zaśliniony, z szaleństwem w oczach, miał przed sobą wizję resztek zgniłej ręki, która zbliżała się do jego oczu. Zanim jednak wyskoczył z pokoju, w jednej chwili zatrzymał go znajomy głos.

– Nie drzyj się, do cholery. Inni chcą się wyspać do pracy – burknęła kulista postać, kryjąca się na drugim końcu szerokiego łóżka.

Szybko wypuścił powietrze i pomyślał, jakim jest wielkim głupkiem. Koszmary zostaną tylko koszmarami, a życia jego syna nikt nigdy nie przywróci. To wszystko było tylko odbiciem moich stresów i zmianą miejsca zamieszkania – uspokajał sam siebie.

– Cieszę się, że tak myślisz – usłyszał za sobą mocny głos. – Cierpiący człowiek to najlepszy pokarm dla duszy.

Ośłupiały patrzył jak kołdra, gdzie jeszcze przed chwilą leżała jego żona, stopniowo się podnosi, tworząc przed nim figurę dziwnie przypominającą ukrzyżowanego zbawiciela. Kręcąc głową z przerażeniem, obserwował jak coś przypominającego ręce wysuwa się spod bieli materiału i z całą stanowczością zmierza w jego stronę. Poczul, jak ulatuje z niego osłupienie i zerwał się z miejsca, jakby miało to być ostatnią



czynnością, którą w życiu robi. Nie oglądał się za siebie, ale czuł na swoich plecach ogromną skumulowaną nienawiść i pierwotne uczucie czystego strachu.

Gdy zamykał drzwi balkonowe, dotarło do niego, że nikogo za nim nie ma. Wszystkie sprzęty w salonie były nienaruszone, a drzwi do sypialni szczelnie zamknięte. Płacząc z ulgi niczym dziecko, stanął przed szybą i odkrył, że jego odbicie wcale nie powtarza jego ruchów. Patrzył szeroko otwartymi oczami, jak jego dziwny brat bliźniak podnosi sekator z leżącej obok doniczki i trzymając tuż przy szyi mocno naciska na rączki.

* * *


– Słyszała pani? – cicho zapiszczała staruszka. – Ten dziwny sąsiad, który się niedawno wprowadził, został znaleziony martwy dziś rano.

– Naprawdę? – zdziwiła się druga. – Przecież jeszcze wczoraj widziałam go, jak wracał uśmiechnięty z roboty. Nie wyglądał na człowieka, który chciał się zabić.

– A bo pani ostatnio mało wie i nie wychodzi do ludzi – skwitowała starsza pani. – Nie słyszałam tego osobiście, ale wiem, że miał pewne problemy w swojej rodzinnej wsi. Podobno wracając do domu wjechał w swojego syna, który czekał na niego pod domem. Śmierć na miejscu, mówię pani. Zgniół biedaka, nie mógł wytrzymać, więc się zabił. Słyszałam zresztą, że on czytał horrory, a przecież wie pani, że tacy nie są normalni.

– Tak, wiem, wiem. Szkoda tylko biednej żony, która to wszystko przeżyła. Widziałam rano karetkę na sygnale i jak szarpała się z sanitariuszami. Mam wielką nadzieję, że dziewczyna wyjdzie z tego. Taka tragedia.





– A na moje oko to taka sama świruska jak mąż. Widziałam, że trzymała w ręku jakąś czarną książkę i jak reagowała, gdy próbowano ją jej zabrać. Myślałam, że oczy wyszarpie temu policjantowi.





Ta przecudowna Vera

Wstęp do „Modelki Pickmana”

Zuza Wrona & Jarek Klonowski

Miałem przed sobą kobietę bez dwóch zdań dystyngowaną, o włosach ciemnych niczym płama tuszu, rozlana nie dbale na czubku kształtnej głowy. Wkoło oblicza te sploty – nie, to żywe stworzenie tylko udające włosy – spinała barwna chusta. Och, jakież to było oblicze! Blade, alabastrowe, o wysoko sklepionych policzkach i szerokim czole.

Aktorka wpatrywała się we mnie taksująco oczyma o wykroju migdałów, niczym egipski kot. Oczyma śledzącymi, widzącymi wszystko i różnobarwnymi, z przewagą trującej zieleni. I kolejny flesz... Owym rozbłyskom towarzyszył hałas, niemal nieznośny dla moich czułych uszu, i przypominające tiki, nerwowe drgnięcia, dotykające twarzy bogini niczym zapowiedź śmiertelnej choroby.

Tak, ja także nie znosiłem owych mechanicznych trzasków i dymu wydobywającego się z podstawy lampy błyskowej.


Siedząca przede mną kobieta reagowała na widok i odgłos maszyny niemal alergicznie.

Verę E., femme fatale, boginię kina niemego, porównywaną z Polą Negri i Sarą Bernhard, otaczał zapach francuskich perfum. Za sprawą cygaretki wyposażonej w długi ustnik, uzupełniała ową zwyczajną dla wytwornych kobiet woń zapachem silnym i nieco duszącym.

– Jaki jest sekret pani urody? – zapytałem nieśmiało. Tak właśnie należało ową rozmowę zacząć.

– Och, proszę pana! Na pewno nie będzie to dla pana interesujące, ale skoro już pan zapytał... – mruknęła z zaskakującym pośpiechem. – Otóż mój sekret to indywidualnie





dopasowana dieta. Tak... dieta to bardzo dobre określenie. Specjalnie sprowadzane z Grecji świeże jogurty, oczywiście doprawione mieszanką sosów, to już są tajne przepisy. Mogę jedynie zdradzić, że są... czerwone.

Delikatnie się roześmiała, po czym ciągnęła:

– Co jeszcze... – wyglądała na skupioną, szukającą odpowiednich słów, choć oboje dobrze wiedzieliśmy, że była to jej kolejna wystudiowana rola. – Tak, oczywiście, soczyste mięso. Z odrobiną soli i pieprzu, smażone tylko trzy minuty z każdej strony, inaczej straci swoje... wartości odżywcze.

Miałem ochotę szybko zmienić temat. Sam nie wiem, z jakiego powodu.

– Myślałem, że pogratuluję pani roli w *Raju Utraconym* Ernsta Lubitscha, u boku Poli Negri, ale... – czując, że uświadomiłem jej swoją czujność, przeszedłem do natarcia. – Odrzuciła ją pani. Jak to się odnosi do rzekomego romansu z tą pierwszą? Czy panią i polską aktorkę faktycznie łączy relacja nie tylko zawodowa?

Vera zmierzyła mnie czujnie, jak drapieżnik szykujący się do skoku na ofiarę.

– W moim fachu plotki to chleb powszedni – odparła zaskakująco niskim głosem. – Ale im więcej mówi się o mnie, tym lepiej dla mojej kariery! Pola jest zjawiskową kobietą, posiada również talent. Proszę mi jednak wierzyć, nawet filmy, w których gram, nie są aż tak fikcyjne. Te plotki miały, jak mniemam, wyjaśnić, dlaczego zrezygnowałam z głównej roli w tym przedsięwzięciu. Ze względu na pewne prywatne okoliczności nie mogłam sobie pozwolić na oddanie całego serca dla *Raju*.

– Czy aktualnie spotyka się pani z kimś? Wspominało się o młodym aktorze i bawidamku, Clarku Gable, który

odziedziczył niemałą fortunę i bawi się obecnie w grę aktorską...

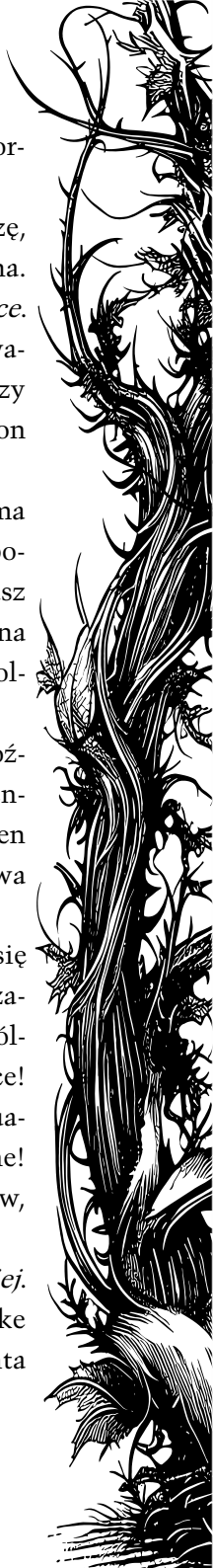
– Cóż... – odparła z przekąsem, stanowiącym, jak sądzę, pewną jej manierę. – Clark to wyjątkowo uroczy mężczyzna. Poznaliśmy się na planie jego filmu *Dance, Fools, Dance*. Mężczyzna, który tak tańczy, ma bardzo dużo do zaoferowania kobiecie, szczególnie takiej jak ja. Faktycznie, parę razy pojawiliśmy się razem na ekskluzywnych przyjęciach, ale on nie był jeszcze... gotów.


– Czy pani zdaniem film berlińskiego reżysera ma szansę na któregoś Oscara spośród trzech nominacji? Wspomina się, że może stanąć mu na drodze fakt, że scenariusz filmu oparty jest na dramacie Sheldona, a ten z kolei na książce pary posadzanych o homoseksualizm Węgrów. Hollywood takich rzeczy już nie lubi...

Wzrok, którym obdarzyła mnie Vera, mógłby przygwoździć do krzesła bez jakichkolwiek narzędzi. Silny, intensywny. Wściekły. Jak się jednak okazało, poprzedzał pełen słodczy uśmiech. Także twarz Very E. stała się spolegliwa prawie od razu, przybierając pobłażliwy wyraz.

– Myślałam, że rozmawiamy poważnie! – zaciągnęła się cygaretką, a jej oblicze zniknęło na moment w kłębach zaskakująco śmierdzącego dymu. – Hollywood, a w szczególności Akademia, potrafią poznać się na prawdziwej sztuce! I nie, nie chodzi tutaj o mnie. O domniemany homoseksualizm proszę zapytać Allę i jej krawcowe, będą zachwycone! My, prawdziwi aktorzy, zostawiamy na taśmach swoją krew, wszystko w imię kina.

– Wróć jeszcze do tematów z *Kolumny Towarzystkiej*. Troskliwi upatrują zastąpienie pani przez Pauline Starke w osobistej decyzji samego producenta i prezydenta





Paramountu, Adolpha Zukora, znanego z licznych roman-
sów z młodymi aktorkami... Jak to pani skomentuje?

– Cokolwiek by nie powiedzieć o Adolphie, zapewne będzie prawdziwe – odparła swoim manierycznym, zniżonym głosem. – To człowiek wielu talentów, jak i wielu słabości. Jedno mu trzeba przyznać, nikt tak jak on nie potrafi zarabiać na kinie. Zukora interesują trzy zasady, produkcja, dystrybucja i wystawy. Czy Pauline Starke jest gotowa wypruć sobie żyły dla kina? Nie mnie to oceniać. Ja byłabym doskonała. Ja byłabym Anną.

– Co panią łączy z rosyjską aktorką teatralną, Allą Nazimową?

Zmierzyła mnie, a jej oczy zamigotały niebezpiecznie.

– Alla to czarny koń Hollywood, gdzie nie dostanie roli, tam zrobi aferę. Miała dosyć wymowny występ w *Salome*, zresztą, swoim własnym filmie, to też chyba dużo o niej mówi, ale postanowiła skupić się na cieniach, a nie blaskach kariery. Bywałyśmy razem na balach, ale przyjaźnią tego nazwać nie można. Chociaż trzeba jej przyznać, że ma niezwykle kuszącą skórę...

– Nazimowa jest posądzana o organizowanie orgii narkotykowo-erotycznych w swojej rezydencji w Los Angeles, gdzie rzekomo była pani widywana...

– Cała Nazimowa... głośna i obsceniczna. Tak, byłam na tym *przyjęciu*, otrzymałam oficjalne zaproszenie na wieczór towarzyski przy lampce szampana, wie pan, w moich kręgach nie odmawia się. Ale to co tam zobaczyłam, ach, gęziej skórki można było dostać! Te nagie ciała i krew pulsująca w żyłach, nie, tak nie można, tyle marnotrawstwa... Już więcej nie pojawiałam się u Nazimowej, taka kobieta jak ja, pełna klasy, nie może sobie pozwolić na takie bezczeszczenie ciała.

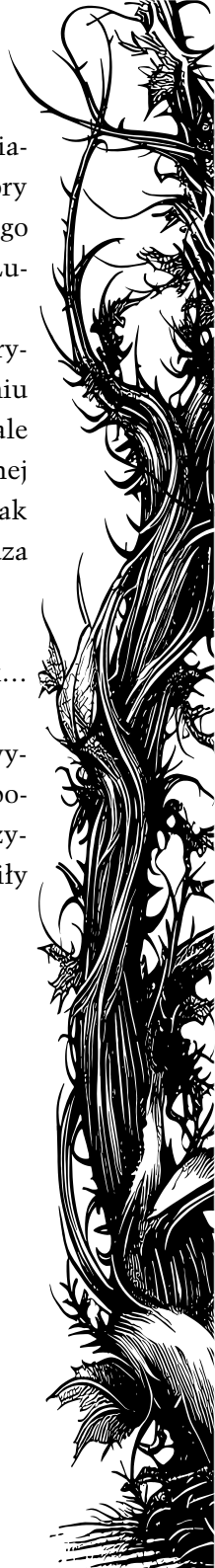
– A czy to prawda, że ograniczyła pani kontakty ze światem Los Angeles, bo cierpi pani na rzadkie schorzenie skóry i leczyła się pani w Baden-Baden zeszłej jesieni właśnie z tego powodu? Odmawiając tym samym udziału w filmie Lubitscha?

– Tak, wspominałam już panu o tych osobliwych prywatnych niedogodnościach. W moim zawodzie i otoczeniu wygląd to podstawa. Nie chcę wdawać się w szczegóły, ale poddałam się nowatorskiej metodzie leczenia, połączonej z dość osobliwą dietą. Tak, nie sądziłam, że krew może tak oddziaływać, tak pobudzać. Czułam wręcz, jak rozsadza mnie ta energia od środka, jak opanowuje całe moje ciało!

Dziwne drgawki przemknęły pod skórą pani Very.

– Co się dzieje z pani twarzą?! Pani lewy policzek... I warga...

Coś pojawiło się na dnie jej oczu... Wiedziałem, że wiadomość dobiegła końca, gdy na pięknym, powiedziałałby ktoś, posągowym czole, skropił się pot, a grymas zwiastujący przypływ uczucia głodu wykrzywił całe oblicze. Usta rozchyliły się i...



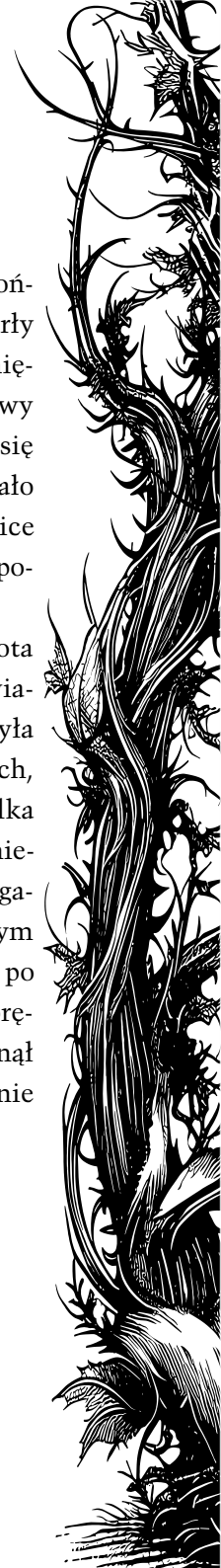


Studnia

Aleksandra Knap

Księżyc w pełni odbijał się w zimnej tafli. Chude kończyny wynurzyły się z wody. Obslizgłe zielone dłonie otarły o zbudowaną z kości topielców ścianę studni. Studni pamiętającej poronienie i ból. Wyrastające z napuchniętej głowy czarne kosmyki lepiły się do skóry, gdy utopiec wspinał się na szczyt. Czaszki drżały, a z pustych oczodołów wyzierało błaganie o pochówek. Ułożone na żuchwach miednice trzeszczały, a podtrzymujące je żebra chwiały się pod naporem demona.

Słodką melodię roznosiła się po wsi. Złotowłosa istota minęła chaty o strzelistych dachach, zmurszały płot, stawiając bose stopy na ubitej ziemi. Ujrzała studnię i przyspieszyła kroku. Łagodny głos ucichł. Dziewczyna stanęła na palcach, by chwycić sznur. Wiadro zakotyssało się, drewniana belka zaskrzypiała. Utopiec zerknął na ubytek w ścianie – niewielką lukę między kością łokciową a strzałkową, wymagającą uzupełnienia. Spojrzał w górę na rozjaśnioną ciepłym blaskiem twarz niewiasty. Dostrzegł wystający obojczyk, po którym zsuwało się ramiączko haftowanej sukienki. Naprężył długą rękę, po czym szarpnął złote pasma i wciągnął dziewczynę w głąb studni. Studni pamiętającej poronienie i ból.





Studnia

Autorka ilustracji: Aleksandra Knap

Płoną kręgi parmezanu

Małgorzata Lewandowska

Płoną kręgi parmezanu,
Kiedy ręka wyćwiczona
Bez litości sieka szczypior,
Smaragdowej krwi spragniona.

Płoną kręgi parmezanu,
Kiedy ręka się unosi,
Aby z wrzątku wyjąć pastę,
Co o litość już nie prosi.

Płoną kręgi parmezanu,
Kiedy ostrze tnie maselko,
By je stopić ze śmietanką,
Robiąc im istne piekielko.

Płoną kręgi parmezanu,
Gdy żelazo rozżarzone
W swe objęcia bierze pasty
Centymetry niezmierzone.

Płoną kręgi parmezanu,
Kiedy kucharz, bóg chaosu,
Na patelni miesza pastę
Z bulgoczącą bazą sosu.



Wtem!
Patelnię swą przechyła.
Jej zawartość w płomień wpada!
Ogień syczy przyduszony,
Ogarnia go pasta blada.
Nie uciekną przeznaczeniu!
Jedno już drugie pochłania!
Żywiół krztusi się żywiółem!
Włoskie danie się wyłania!

Zgasły kręgi parmezanu!

A szczypiorek, ten z początku
(Co siekany był bezdusznie),
Dodał kucharz na sam koniec,
Posypując pastę słusznie.

31.08.2024





Płoną kręgi parmezanu

Autorka ilustracji: Małgorzata Lewandowska




Zamknij oczy

Małgorzata Lewandowska

Zamknij oczy, zamknij usta,
Bowiem zbliża się kapusta!
Która pali i doskwiera,
Wręcz od środka cię pożera.
Gdyż nie zwykła to kapusta,
Nie okrągła, jakby tłusta,
A pekińska z przyprawami:
Chili, czosnkiem i rzodkwiami,
I imbirem, i cebulą.
(Tą wiosenną, a nie kulą.)
Wszystko razem zakiszone,
Barwy ognia, gdy skończone.
Zwą to kimchi, co litości
Nie zna, gdy w ustach zagości.
Wali w zmysły jak z obucha,
Aż ci z nosa para bucha!
Z oczu ciurkiem łzy się leją.
Usta żywym ogniem zieją.
I kołaczą myśli w głowie,
Że to wszystko jest na zdrowie.
I że prawa są w naturze
Twarde niczym kamień w murze,
Że co pali podniebienie
Gwarantuje ci cierpienie
Także w innej części ciała
Ciemnej niczym noc bez mała.

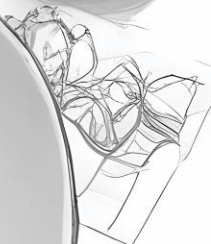
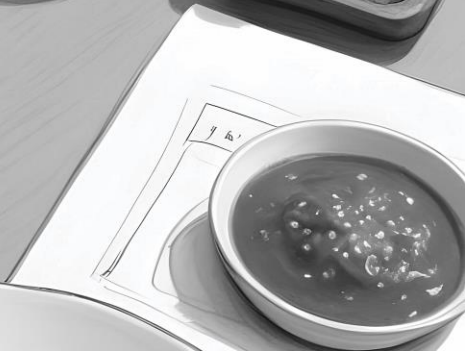




Bo co weszło terror siejąc,
Usta ogniem piekieł grzejąc,
Wyjdzie również bez cackania
I nie znając zmiłowania!

Lecz kiszonki są wszak zdrowe.
Każdy lekarz to ci powie.

30.08.2024





Nadmuchani

Dariusz Ludwinek

Znałem Karolka ledwie kilka miesięcy. Powiecie – wakacyjna przyjaźń. Zniknął podobnie szybko, jak się pojawił. Wyższy ode mnie, żylasty, wiecznie pędzący na konsekwentnie uzupełnianych cukrach prostych. Mrugnąłem okiem i Karolka już nie było.

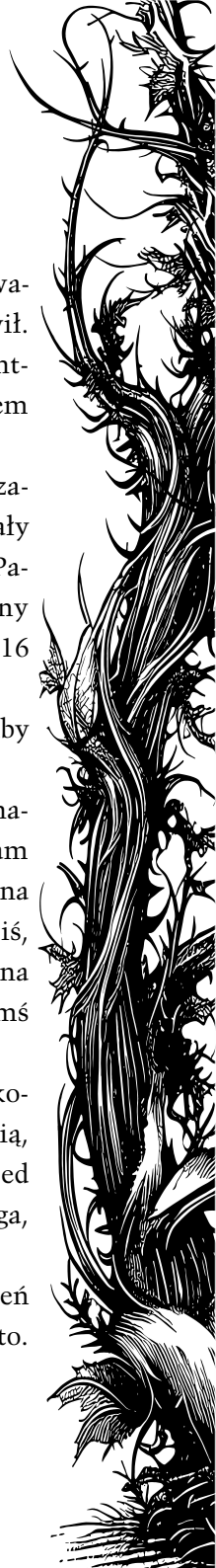
„To ja. Pamiętasz? Mam Ci coś ważnego do przekazania” – gdy dostajesz taką wiadomość, zatrzymuje się cały świat wokół. SMS od nieznanego, dziwnego numeru. Patrzę na telefon jak zahipnotyzowany. Jest lato, ogromny skwar i salwy dziecięcych krzyków. Pierwszy czerwca 2016 roku.


„Posłuchaj, pilnuj Jasia, pilnuj go jak nigdy dotąd, jakby od tego zależało jego życie.”

Mrozi mnie. Czuję autentyczny chłód, którego nie narzewa nawet trzydziestostopniowy żar. Szybko namierzam młodego, zdejmuję właśnie buty, szykując się do wejścia na ogromny dmuchaniec. Tak długo staliśmy w kolejce. Dziś, w jego dzień, wyjątkowo nie był chętny, aby spędzić czas na festynie. Namówiłem go, bo pewnie wyskoczyłby z czymś wieczorem.

Stoi tam cierpliwie wśród kilkunastu innych przedszkolaków. „Zaraz wasza kolej”. „Cierpliwości”. Rodzice robią, co mogą, a dziecięcy żywioł tupie w gumowe podłoże przed wejściem do tego olbrzyma. Nastroje uspokaja też obsługa, jakoś szczególnie uprzejma i wytrwała.

Pewnie na czymś jadą, myślę, bo przecież Dzień Dziecka to największa orka. Są ubrani w całości na żółto. Mają...





„To znów się wydarzy. To, co ze mną. Nie zamykaj oczu, choćby nie wiem co” – SMS znika zaraz po tym, gdy go przeczytałem. Może zadzwonię do Kamili? Tylko ją zmar-twię. Panikujesz, panikujesz jak zwykle, daj się wyszaleć dziecku w jego dzień. Już słyszę jej pełen pretensji głos.

Ktoś szturcha mój bark.

– Przepraszam, proszę nas przepuścić.

Mija mnie kilka żółtych postaci. Ich twarze są gumowe, bez emocji. Skóra zbyt gładka, nieskazitelna. Nie pocą się pod naporem słońca. Dziewczyna z obsługi zerca na mnie, wydaje mi się zbyt ładna, to nie mogą być prawdziwe oczy.

Jaś zniknął w dziecięcej grupie, która wspinała się już po gumowej zjeżdżalni. Dopiero teraz dostrzegam jej osobliwe kształty. Zamiast standardowego zamku, remizy strażackiej i tym podobnych, pnie się ku górze jakiś abstrakcyjny portal pełen żółtych i czarnych elementów. Podeszedłem bliżej. Został zrobiony z dziwnego tworzywa.

– Jasiu! Spójrz na mnie, dziecko. Musimy już iść – krzy-czę i w tej samej sekundzie spoczywa na mnie kilkanaście pustych oczu obsługi. Nie są zaskoczeni, źli. Są inni. Tworzą krąg. To dla bezpieczeństwa? Słyszę pierwsze szurania, śmie-chy, płacze zderzających się dzieci. Mój syn szaleje w amoku ekscytacji. To jego dzień, opanuj się!

Wibracja w dłoni. Wibracja gdzieś przede mną. Blisko.

„Tu Karolek. Na pewno mnie pamiętasz. Przypomnij so-bie, bo zaraz będzie za późno. Jaś do mnie...” – nie zdążyłem doczytać, bo wiadomości znikają coraz szybciej.

Coraz mocniej grzeje. Moja głowa ćmi, mdli mnie w zo-ładku. To od słońca? Opanuj się, opanuj, powtarzam sobie.

Zamaszyste, ciemne chmury zbierają się centralnie nad nami, rzucając ogromny, zmieniający temperaturę cień. Coś

czerwonego, ukrytego za tą zasłoną, mający nad naszymi głowami.

– Jasiu! Synu! Zaraz zacznie padać, idziemy!

Młody w ogóle nie reaguje. Opieram się o balon. Nigdy nie czułem takiego czegoś. To śmierdzi. Człowiekiem.

Wibracja. „NIE ZAMYKAJ OCZU. RATUJ GO” – litery znikają. Żadnej wiadomości, SMS-a, nic.


Z góry bije we mnie fantomowa błyskawica jaźni. Karolek zniknął podczas festynu. W tej samej miejscowości. W dokładnie tym samym miejscu. Dmuchaniec wyglądał tak samo. Pamiętam, że bałem się na niego wejść, bo wydawał się nie mieć końca, a jego przenikliwa czerń zdawała się pochłaniać wszystko wokół. Udałem, że nie mam już pieniędzy, czy chce mi się sikać, już nie pamiętam.

Moje dziecko.

Oślepiający błysk przeszywa okolicę. Instynktownie zakrywam głowę, skrywając wzrok. Telefon cały czas wibruje. Otwórz je, otwórz. Uchylam powiekę, wszyscy kucają, skuleni strachem. Huk ogłuszył nas, oślepił. Jaś. Jak przez elektryczną mgłę patrzę na zjeżdżalnię. W ciągu trzech sekund tracę wszystkie zmysły.

Ogromny balon błyskawicznie traci powietrze i zaczyna zwijać się w nieregularny kształt, rozpychany przez uwięzione dzieci. To lewitujący, zmiennokształtny stwór. Żywa, czarna skóra, wijąca się w powietrznej kakofonii jakichś cieczy, będących zapewne potem, krwią, moczem, osoczem strachu uwięzionych oraz włosów, członków, organów. Podobne, przerażające procesy toczą się na twarzach obsługi, odsłaniając na zgłuszoną wybuchem chwilę ich prawdziwe ja. Stoją w okręgu wokół tej całej maskarady, mocno zaciskając swoje zmieniające się w czasie rzeczywistym





pseudodłonie. Nie mogę się ruszyć, krzyknąć. Jakaś siła przyciąga mnie do powierzchni. Moje dziecko!

Kolejny błysk. Tracę na chwilę przytomność.

– Proszę pana, proszę wstać.

Wibracja. Wstawaj. Wibracja. Wstawaj. Wibracja. Wstawaj.

Patrzę na dmuchańca. Zwykła, duża zabawka. Dziś chyba jest Dzień Dziecka, chociaż tłok – w tym rodziców – powoli zaczyna się rozrzedzać. Kolejna grupa dzieci stoi już przy prowizorycznym wejściu obitym śmierdzącą gumą. Pewnie chińczyk. Obsługa uwija się. Żółć jest wszędzie.

Nie mogę sobie przypomnieć, po co tu przyszedłem. Jaś został w domu z matką. Na pewno? Przyszedłem mu coś kupić, wracając z pracy? Wibrowanie w kieszeni. Na ekranie widzę powiadomienie o wiadomości SMS, ale zanim klikam w ikonkę, „jedna nowa wiadomość” znika. Straszny szajs. Słońce zdaje się grać jeszcze bardziej, z nową mocą. Dziwnie się czuję, jakby dopiero zbudzony ze snu zwanego życiem.

Coś kwili cicho.

– Pomó... – cichy jęk, jakby zza ściany. – Tat...

W jednym z rogów gumowego giganta coś się napina od wewnątrz. Podchodzę bliżej. Niewyraźny, obły kształt delikatnie się rusza. Dotykam go. Czuję dziwne ciepło, również wewnątrz. Drga jeszcze chwilę i praktycznie martwieje. Pewnie jakiś ptak dostał się do środka podczas pompowania. Wracam do rodziny, do Jasia. Dziś jego dzień. To będzie wspańiale popołudnie.

Wibracja.

„Jesteśmy teraz razem. Nie martw się, zaopiekuję się nim. Prosiłem tylko, żebyś nie zamykał oczu. To nic takiego. Szczególnie dla dorosłych. On mówi już bardzo cicho, jest

coraz słabszy. Chyba dołączy do tych w rogu. Nieruchomych. Powtarza „tato, tato, tato”. Wróć po nas, pomóż nam. Proszę.”

Patrzę na znikające elektroniczne litery. Odwracam się jeszcze na chwilę. Zbiera się na burzę. Czarno-żółty dmuchaniec jest jeszcze większy. Dzieci wspinają się na niego i zjeżdżają nieskończenie długo. Chyba nie wpuściłbym na niego Jasia.





Nie jestem pewien, czy ona nie żyje

Dariusz Ludwinek

Coś zabolalo go w plecach. Mężczyzna w średnim wieku siedział apatycznie na popękany fotelu, patrząc w ścianę, w dal za nią, we własne, atakujące go teraz gęste myśli. Czy ona naprawdę nie żyje?

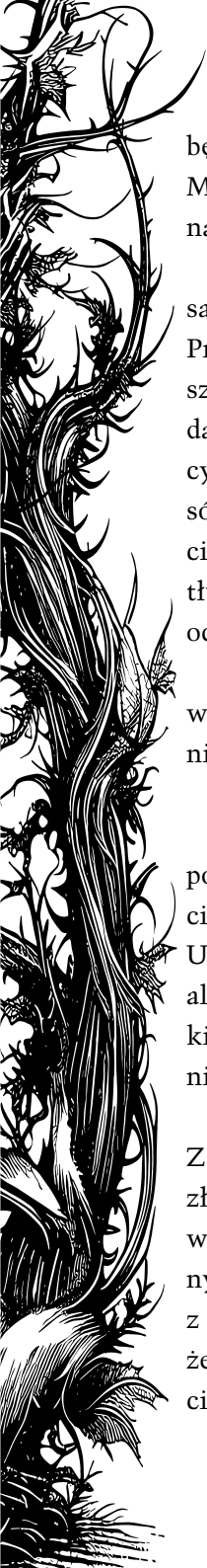
Uroczystość rodzinna. Czy to ważne jaka? Każda wygląda prawie tak samo. Biała, ubrudzona koszula. Czerwone twarze rodziny. Śmiech szybko przechodzący w kłótnie. W płacz. Linia Kielce – Kraków. Nie cierpiał tych tłumów, zwłaszcza pływających w lipcowym upale.

Babcia. Nie żył z nią blisko od wielu lat. Ledwo pamięta jej twarz, a zdjęcia pochowane gdzieś po zatęchłych szafach, mogły już okazywać pierwsze oznaki żółknięcia. Widzi teraz na gołej ścianie obrazy z dzieciństwa. Odwrócona babcia krząta się przy kuchennym blacie. Kuca na gołej, polnej ziemi. Kobieta schodzi szybko do piwnicy, kiedy dziadek jedzie gdzieś ze zwierzyną. Mężczyzna do dziś pamięta te przesywające dźwięki spod drewnianych podłóg i do dziś ich nie rozumie.

Nie pamięta pogrzebu, łez, czerni. Nie przypomina sobie drobnej trumny, opuszczanej z szacunkiem do troskliwej ziemi. Przez chwilę myśli, żeby zadzwonić do matki, ale nie będzie z siebie robił idioty. Już i tak ostatnio nawywijał. Nikt z rodziny nie chciał mu uwierzyć. Jak zawsze. Nie był i nie jest więc pewien, jak wielu innych rzeczy w swoim życiu.

Podróż zlewa mu się w kocioł wpatrzonych w niego twarzy, znikających szybko horyzontów i smrodu potu. Z każdą kolejną minutą czuje coraz większy strach. Ta niepewność jest dewastująca. Czy ją tam spotka? Jeśli tak, to jak z nią rozmawiać? Jak się tłumaczyć? A jeśli jej tam nie





będzie? Jak zdzierzyć lawinę pretensji? Nie uszanowałaś jej. Masz tak blisko. Tyle dla ciebie zrobiła. Miał ochotę wysiąść na następnej stacji. Miał ochotę po prostu wyskoczyć.

Mężczyzna w za dużym garniturze stał przed jakąś dużą salą, dygocząc fizycznie i psychicznie. Nie było już wyjścia. Przez okno obserwowała go już rozczarowana, jak zwykle, szara twarz matki. Skrzywienie drzwi, które nie powinny wydawać tego dźwięku. Setki zapachów, dziesiątki przecinających się, rezonujących emocji. Jednostajny dźwięk wielu głosów. I jeszcze coś majaczące w tle, ledwo słyszalnie. Rodzicielka nawet go nie przywitała, a on, ściskając kolejne zatłuszczone ciała oblane perfumami, biegał zmęczonymi oczami po salkach, korytarzach. Szukał jej.

Gdzie babcia? Czy babcia żyje? Sprawdzaliście? Może warto pojechać na cmentarz? Może warto zajrzeć do piwnicy?

Babciu...

Poznał ją na głównej sali. Siedziała odwrócona grubymi, potężnymi plecami, wśród innych ciotek, wujków, sałatek, ciast i koniaku. Mogła mieć teraz blisko dziewięćdziesiąt lat. Ulga. Tak, chyba to poczuł. Coś upadło z hukiem obok niego, ale nikt nawet nie zwrócił uwagi. Zbliżał się powoli w jej kierunku, witając się z kolejnymi stołami ludzi i ciągle na nią zerkając. Na jej nieruchome ciało.

Kiedy był już parę metrów od niej, szarpnęła go matka. Z jej ust wydobyła się czarna, kapiąca kula – zbitek pretensji, złości, nienawiści i smutku. Oczy matki patrzyły gdzieś w dal, nigdy na niego, nigdy. Kiedy odeszła, siadając na wolnym miejscu obok babci, wyraźnie to usłyszał. Dźwięk z dołu. Jakby drapanie, a przy tym cichy pomruk. Był pewien, że tylko on zwraca na to uwagę w pomieszczeniu pełnym ciał.

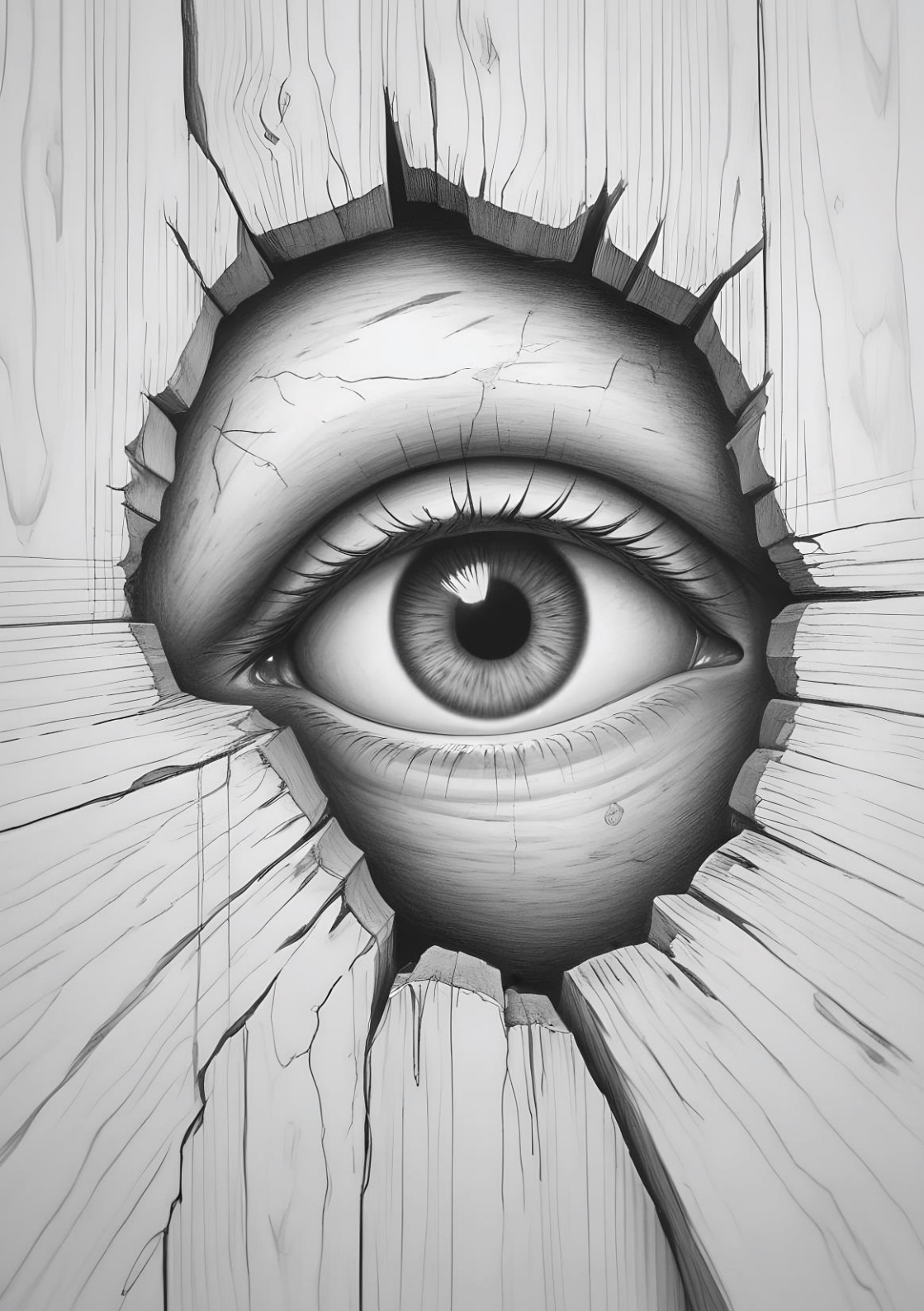


Krok, kolejny. Zbliża się do babci i kiedy jest już blisko, a nawet chce delikatnie dotknąć jej ubranego w czerń marynarki ramienia, matka obok wysuwa krzesło z babcią. Robi to z niesamowitą lekkością. Siadaj. Ale jak to? Siadaj i nie rób wstydu, chociaż dziś. Znów czuje ogromny ucisk w plecach i zaczyna chwiać się na nogach. Kiedy zagłąda przez głowę i patrzy na front dziewięćdziesięciolatki, widzi puste krzesło.

Nie jestem pewien, czy ona nie żyje. Wszyscy patrzą teraz na niego nienawistnie. Spuszcza wzrok i dostrzega dość duży ubytek w podłodze, a jeszcze głębiej zgniłą żółć białka ocznego. Przeszywa go. Przypomina mu wszystko. Patrzy teraz w prawo na rozlewającą się we wszystkie strony twarz matki.

– Babcia żyje synu. Zaprasza cię na dół. Chyba jej nie zawiedziesz?





Muchy

Anna Musiałowicz

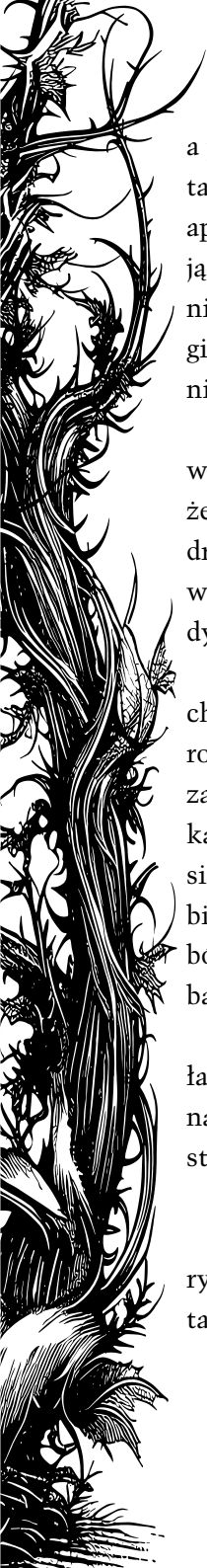
Gdy weszłam do tamtego domu, wiedziałam, że obraz, który widzę, nie opuści mnie przez lata. Przepowiednia, niestety, sprawdziła się. Przed oczami jak żywy mam widok nieremontowanej od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku izby, w której w jednym kącie stała zdezelowana kuchnia węglowa, a przy drzwiach – stół z nogami pomalowanymi niegdyś białą farbą, teraz odłazającą płatami razem z drzazgami, nakryty podziurawioną, upstrzoną plamami tłuszczu i nie wiadomo czego jeszcze ceratą. Podłoga skrzypiała, już nawet nie tyle od ciężaru kroków, ale jakby od ciężaru oddechów, które kładły się na zapleśniałe deski, ukazujące wgnieceniami i powycieranym lakierem codzienną drogę mieszkanki tego przybytku: kuchnia – stół – łóżko.

Ta zaś leżała bez ruchu w skłębionej pościeli, mokrej od panującej tu wilgoci, moczu i wchodzącej w każdy kąt pleśni, na łóżku, które chyba tylko niewidzialna ręka opatrności podtrzymywała, by się nie rozpadło pod przygniatającym je ciężarem. Ciężarem pościeli, by być dokładnym, gdyż starszka była zasuszona jak wiór, z woskową twarzą, nogami jak patyki i rękami, których strach było dotknąć, by nie zamieniły się w pył.

Kobieta żyła. Świadczyły o tym dobywający się z jej cuchnących zgniłymi zębami i dziąsłami ust jęk, towarzyszący każdemu oddechowi, unosząca się nieznacznie chuda klatka piersiowa pod koszuliną tak starą, że z tej starości niemal przezroczystą, i język, jakby poszukujący wody na spierzchniętych wargach.

Obrazu nędzy i rozpacz dopełniały muchy. Były wszędzie. Tłuste, brzęczące, siadały na ścianach, na meblach,





a przede wszystkim na kobiecie. Łaziły po niej, a widok był tak obrzydliwy, że niemal widziałam jakby w powiększeniu aparat gębowy, przysysający się do zasuszonej skóry, spijający resztki życia kobiety, czułki i macki głaszczące żółknięte ciało. Wyobraziłam sobie język kobiety – nadzwyczaj giętki i ruchliwy, żabi, łapiący te opasłe muszyska w tempie niedostrzegalnym dla ludzkich oczu. Chciało mi się rzygać.

O ile mogłam podejrzewać, że widok ten będzie mi stawał przed oczami jeszcze wiele razy, nie spodziewałam się, że smród pomieszczenia, smród starości i zepsucia tak wedrze się w moje nozdrza, że jeszcze przez wiele dni nie będę w stanie łykać jedzenia bez odruchu wymiotnego, gdyż każdy posiłek będzie cuchnął tym domem.

Pogotowie wezwaliśmy niemal natychmiast, przyjechało niespiesznie, a my staliśmy, paląc papierosa za papierosem. Gwoli wyjaśnienia – nie palę, ale wówczas musiałam zabić fetor zapachem fajek. Ratownicy pokiwali głową, lekarz zmierzył jedynie puls, zajrzał pod powieki i oganiając się od owadów, kazał wpakować kobiecinę do karetki. Zrobili to niedelikatnie, kobieta przeciągle westchnęła, pełna bólu, a muchy jakby usłyszały wezwanie i obsiadły ją jeszcze bardziej, nie chcąc jej oddać.

Wchodziły jej do nosa, do ust, do oczu, a tylko tyle byłam w stanie dostrzec. Ratownicy oganiając się od owadzych natrętów, wpakowali w końcu owiniętą w koc termiczny staruszkę do pojazdu i na sygnale odjechali.

Miesiąc później zadzwoniła do mnie jej córka. Z Hame-ryki czy innej Holandii. Oburzona. Jej matka umarła w szpitalu. Z głodu. Bo zabrali jej muchy.







Trzy siostry. Prawie powieść

Tadeusz Oszubski

Nieraz myślę: a gdyby tak zacząć życie na nowo? I to z całą świadomością? Gdyby jedno życie można było przeżyć, jak to mówią, na brudno, a drugie na czysto?

Anton Czechow, *Trzy siostry*

Nie miały na imię Olga, Masza, Irina i Antona Czechowa przy tym nie było. Nawet dla Alfreda Hitchcocka to historia nazbyt drastyczna.

* * *

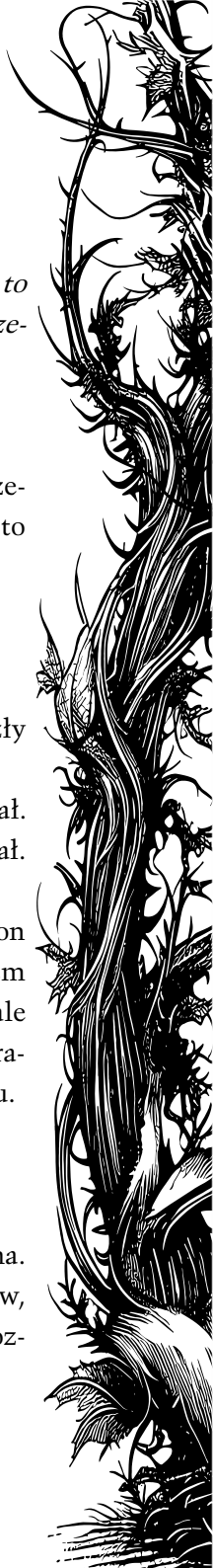
Romansował z trzema siostrami. Dwie z nich zaszyły w ciążę. Jedną zabito.

Pierwsza – oszczędna, płodna i robotna. Obiegowy ideał. Druga – zadbana, wykształcona i zaradna. Obiegowy ideał. Trzecia w niczym nieutalentowana. Ot, była.

Na co dzień zabawa erotyczna na trzy sposoby. Ale on nie tylko igrał, on im się przyglądał, jak żyją za parawanem niedomówień. Wiedział, że o nim i siostrach wiedziały, ale udawały, że nie. Wszystkie! Tak łatwiej. Jak szybkie poprawianie urody przylepionymi rzesami z chińskiego plastiku.

* * *

I nadszedł jeden dzień straszny, a po nim noc okropna. Parawan niedomówień się rozpruł. Za dużo emocji, kłamstw, zazdrości. Potem już tylko smak i zapach strachu, potu, rozgrzanego metalu, krwi.





* * *

Ożenił się z trzecią, w niczym nieutalentowaną. Miała troje dzieci – jedno swoje, ale wszystkie jego. Siostry pierwszej i drugiej nie było. Już. Jedna w więzieniu, druga w mogile.

* * *

„Grozo, grozo, cóżem ci uczynił? Nawet gdy oczy zamknę, grozę widzę! Szarością mnie spowiła” – łkał nocami przez lata, przeklinając swą pokutę. Ale nie uciekł.







Autumna

Joanna Pyplacz


Przerażająca historia, którą zamierzam opowiedzieć, zaczęła się zupełnie niewinnie: usiadłem w małej kawiarence, zapatrzony w średniowieczne fortyfikacje, wyniosłe spoglądające na położone w malowniczej dolinie miasto Kotor, gdy nagle poczułem, że dzieje się wokół mnie coś dziwnego. „To pewnie po wizycie na cmentarzu”, pomyślałem, obarczając winą za nieprzyjemne doznanie swój niedawny spacer po urokliwej starej nekropolii na obrzeżach tego miasta. Któż by pomyślał, że niebawem przyjdzie mi odwiedzać tam mojego bliskiego przyjaciela!

Oderwałem wzrok od fortyfikacji i skierowałem go w stronę uliczki, wiedziony niezrozumiałym przeświadczeniem, że powinienem tak właśnie uczynić. Ledwo odwróciłem głowę, natychmiast zauważyłem przed sobą grupkę młodych ludzi, stojących luźno, w zrelaksowanych pozach, rozmawiających na temat, który niezbyt ich interesował i co chwilę zerkających na ekrany smartfonów.

Niedaleko nich stała młoda dziewczyna w ciemnoszarym swetrze i nieco jaśniejszej spódnicy sięgającej do kostek. Jej włosy natomiast – barwy intensywnie mahoniowej (grzechem byłoby określić je jako „rude”), idealnie pasowały, na zasadzie kontrastu, do wymykającego się wszelkim trendom stroju. Ona jedna nie trzymała w ręku telefonu. Nie miała też torebki ani nawet butów. Wyglądała na senną lub czymś odurzoną, tak jakby za chwilę miała albo upaść na bruk, albo rozpląnąć się w powietrzu, albo też wzbić się do nieba i stać się jedną z wiecznie wiszących nad Kotor chmur.

Zaintrygowała mnie ta postać, ale nie miałem śmiałości, by podejść do niej i zagadać. Zresztą, czekałem na





Gorana, który miał niebawem dołączyć do mnie na lunchu w naszej ulubionej, małej restauracyjce. Spoglądałem raz na zegarek, raz – spod oka – na wciąż stojącą nieopodal tajemniczą młodą kobietę. Kim ona była? Czyżby new age’owa moda na powracające do naturalnych korzeni „wiedźmy” zawędrowała i do konserwatywnej Czarnogóry? „Nie, to nie ten typ” – oceniłem w duchu, studiując idealne proporcje twarzy nieznamomej. Kogoś mi przypominała, ale kogo? Chwila moment... Tak jest!

– John Everett Millais! – powiedziałem do siebie.

Złapałem leżący na szklanym stolczku telefon i otworzyłem przeglądarkę.

– Bingo – uśmiechnąłem się z satysfakcją na widok Eveleen Tennant, sportretowanej *en face*, niemal identycznej jak osoba, która mnie zafascynowała. Zacząłem scrollować. Millais lubił ten typ, podobnych kobiet namalował więcej. Czyżby panna Tennant zawładnęła jego talentem do tego stopnia, że zaczął bezwiednie powielać jej rysy? Dawno już zdałem sobie sprawę z prerafaelickiej tendencji do „klonowania” ulubionych muz – powielali je prawie jak Haendel motywy w ariach operowych.

Rozważania o sztuce przerwał mi nieoczekiwany zwrot akcji w wymiarze realnym: dziewczyna nagle odwróciła głowę w moją stronę i po chwili siedziała już przy moim stole. Czyżby zauważyła, że ją obserwuję? A może to mój mózg wysyłał sygnały do ludzi, o których myślałem, tym samym zwabiając ich w moim kierunku? Dziwna historia.

– Proszę, to miejsce jest wolne – zachęciłem, jednocześnie wykonując zapraszający gest.

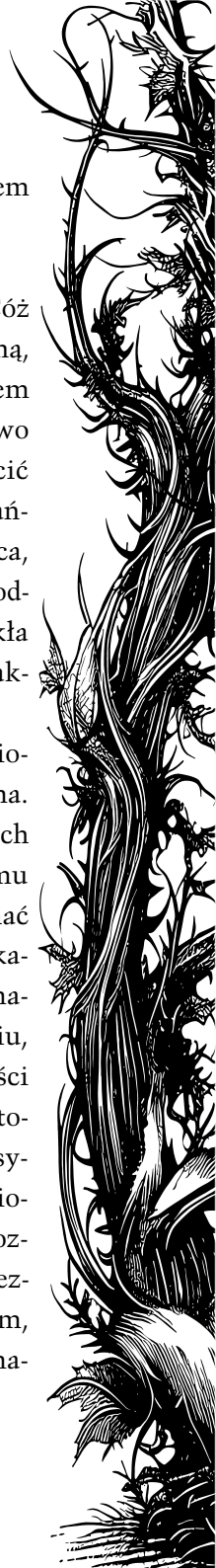
Goran jak zwykle się spóźniał, byłem więc zadowolony, że oczekiwanie na jego przyście wypełni mi rozmowa z intrygującą nieznaną.


– *Thank you* – odparła. – *What's your name?*
– Gregory Matthews... *From Britain* – przedstawiłem się.

– *I'm Autumnna Evelyn. From the United States.*

Evelyn! To samo imię, tyle że w formie nazwiska. Cóż za przedziwny zbieg okoliczności! Podała mi rękę – chłodną, lecz miłą w dotyku. Nie była zjawą ani – jak już zacząłem podejrzewać – duchem zmarłej dziewczyny z przypadkowo nadepniętego przeze mnie grobowca. Nie przyszła się mścić ani rzucić klątwy. Była najzwyczajszą w świecie amerykańską turystką, która chciała pogadać. Kamień spadł mi z serca, choć skrycie – w tajemnicy nawet przed samym sobą – odczułem specyficzny rodzaj rozczarowania: „To tylko zwykła dziewczyna, w dodatku ze Stanów, z tym wkurzającym akcentem!”.

Zauważyłem, że Autumnna często spogląda na średnio-wieczne fortyfikacje. Wydawała się nimi zafascynowana. Nie dziwota – robiły wrażenie. Nie zdążyłem jeszcze ich zwiedzić. Czekałem na Gorana, aż wreszcie zregeneruje mu się niedawno operowane kolano i będzie w stanie dotrzymać mi kroku. Eksplorowanie pięknych miejsc, jedzenie ciekawych potraw i obcowanie z dziełami sztuki, a także słuchanie poruszającej muzyki po raz pierwszy w całym życiu, winno się odbywać w odpowiednim, godnym tych czynności towarzystwie albo – przy jego braku – samotnie. Świętokradztwem wobec sztuki byłoby zwiedzanie Florencji w asyście zwykłego kierowcy tira, czy też degustacja przywiezionych z daleka, egzotycznych słodczy podczas irytującej rozmowy telefonicznej z klientem, lub – jeszcze gorzej – z bezpośrednim przełożonym. Dlatego też uznałem, że zaczekam, aż Goran wyzdrowieje, by wspólną wyprawą złożyć hołd naszej przyjaźni.





– Idzie burza – zauważyłem na widok groźnie kłębiących się nad ruinami murów i wież obronnych, grafitowo-czarnych chmur, spod których wystawał pas czystego nieba o barwie akwamaryny.

Autumna uśmiechnęła się melancholijnie.

– Burza to życie – odparła. – A życie jest burzą.

– Poetycka refleksja – podsumowałem.

– Ale czyż nie jest prawdziwa?

– Hmm.

Zapadła cisza – nie tylko pomiędzy nami, lecz także wokół nas. Przybierający dotychczas na sile chłodny wiatr, który bawił się miedzianymi włosami mojej towarzyszki, nagle ucichł, one zaś łagodnie opadły jej na ramiona. Gwar ulicy zamilkł, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wszystko zdawało się martwe za wyjątkiem Autumny. Zdawać by się mogło, że wessała w siebie całe otaczające nas życie, przybierając na sile niczym gwałtowny, jesienny wiatr.

Trwało to parę sekund, lecz ten krótki interwał czasu wydawał mi się wiecznością. Gdy się ocknałem, dziewczyny już nie było w pobliżu. Rozejrzałem się, lecz próżno było jej szukać – wyparowała. Poczułem, że robi mi się nienaturalnie zimno, co zwiastowało chorobę. Dłonie drżały mi jak starcowi, a po plecach spłynęło kilka strug lodowatego potu.

Ani się obejrzałem, a naprzeciwko mnie, dokładnie w miejscu, gdzie do tej pory siedziała tajemnicza Amerykanka, zasiadł mój przyjaciel Goran. Wyglądał na zafrasowanego. Czyżby znów praca? A może jakiś osobisty problem, którym zamierzał – lub nie – się ze mną podzielić?

– Dwadzieścia minut – wypomniałem mu spóźnienie, żartobliwie wskazując palcem na zegarek. – Biedny ten twój kierownik.

Uśmiechnął się anemicznie. Wiedziałem, że nie jest mu do śmiechu.


- Gadaj – zachęciłem.
- O czym?
- Przecież widzę, że nie jesteś sobą.
- A daj spokój – westchnął. – Muszę się napić.
- Za wcześnie na picie – zauważyłem.
- Jedno piwo i basta.
- No dobrze.

Zawołaliśmy młodocianego kelnera, który uprzejmie zanotował na karteluszku nasze zamówienie – numer stolika, duży kufel piwa dla Gorana i gin z tonikiem dla mnie. Do towarzystwa. Ja też musiałem się napić, po tej całej dziwnej przygodzie.

Obserwowałem mojego przyjaciela spod oka. Coś było wybitnie nie tak. To nie był Goran, którego znałem, lecz smutny, stary człowiek – stary wewnątrznie, pomimo młodego wieku. Zauważyłem też u niego nadmiar siwych włosów; nie miał ich wcześniej, teraz zaś na skroniach stał się szpakowaty. Nie potrafiłem zebrać się na odwagę, by wypytać go o przyczynę tak drastycznych zmian. Pozostawało czekać, aż – jak to niestety miał w zwyczaju – zacznie zamawiać kolejne piwa i takim oto naturalnym sposobem rozwiąże mu się język, w myśl starej maksymy *in vino veritas*.

Z mojego miejsca widać było fortyfikacje jak na dłoni. Mój wzrok nieustannie wędrował w tamtą stronę, zwabiony spektakularną grą światła na niebie: wielka chmura obniżyła się tak bardzo, że chwilowo połknęła sporą część obwarowań. Kręciła się na podobieństwo złowrogiego malstromu, coraz szybciej i szybciej, aż do zatarcia granic pomiędzy prawie cyklopowymi murami, a bezkresem kosmicznego horyzontu. A może to mnie kręciło się w głowie?





Goran tymczasem siedział przygarbiony, smętnie wpatrując się w powoli topniejącą czapę piany piwnej. Jego trochę krzaczaste, lecz proporcjonalne brwi spotkały się nad nosem, złączone w jedną, grubą, czarną kreskę.

– Kobieta? – wyrzuciłem z siebie agresywnie, starając się wziąć go przez zaskoczenie.

Pokiwał głową.

– Kobieta – odparł.

Usiłowałem go podejść, by wyjawiał więcej szczegółów, lecz wszystkie moje wysiłki speliły na niczym. Milczał jak, *nomen omen*, grób. Nie pomogły kolejne piwa, które rzeczywiście pozamawiał i powychylał na kilku oddechach. Nawet pijany nie zamierzał uchylić rąbka tajemnicy.

Rozmowę o zwiedzaniu fortyfikacji zostawiłem zatem na później. Postanowiłem poruszyć ów temat, gdy Goran wytrzeźwieje i będzie w lepszym humorze. Nagabywanie człowieka udreżonego nieudaną miłosną historią, a na dodatek kompletnie pijanego, o rozrywkową wyprawę – choćby i mogącą skutecznie odwrócić jego uwagę od obecnego strapienia – nie miało najmniejszego sensu. Odholowałem go zatem, z wielkim trudem, do jego małego, obskurnego mieszkanca przy jednej z wąskich uliczek.

Forteca św. Jana pogrążyła się tymczasem w odmętach gęstego mroku. Chwyając mojego przyjaciela pod ramię po uiszczeniu rachunku, spojrzałem na nią zupełnie odruchowo, tak jakby sama głowa odchyliła mi się w tamtą stronę. Chmura szalała, wirowała, piętrzyła się dookoła połkniętej przez siebie warowni, zupełnie jakby była żywą istotą, żarłoczną, szaloną i wściekłą.

Goran ledwo trzymał się na nogach. Droga do jego domu, choć krótka, okazała się męczarnią: wywracał się, bełkotał, wykrzykiwał bez ładu i składu, w powietrze lub do

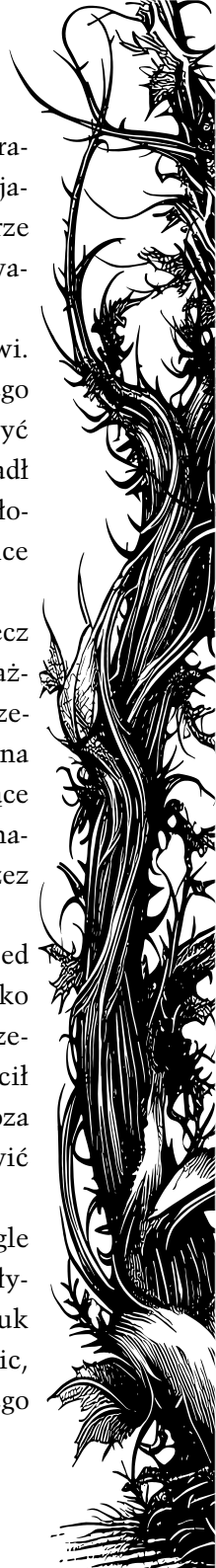
przygodnych ludzi. Ale wstyd! Trzymałem go mocno pod ramię, cały czas uważając, by masywne ciało mojego przyjaciela nie runęło na kostkę brukową, co – przy jego posturze – groziło złamaniem, a przynajmniej poważnym poturbowaniem.

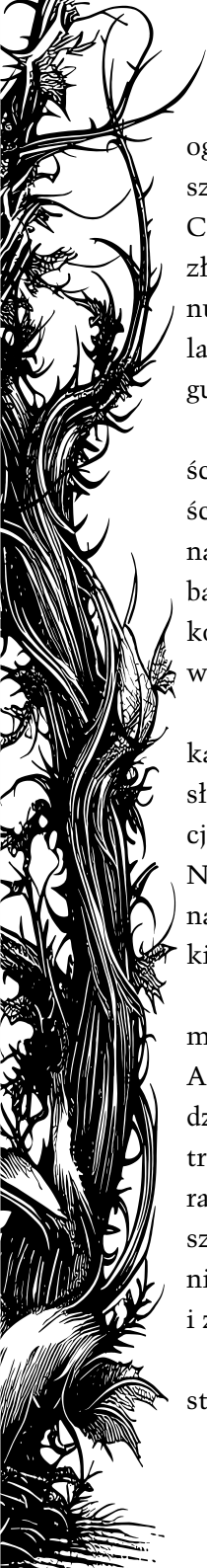
– Uff – wysapałem, gdy wreszcie dotarliśmy pod drzwi. Na szczęście mieszkał na parterze. Znalazłem klucze w jego kurtce, po kilku nieudanych próbach zdołałem otworzyć drzwi do mieszkania i pomogłem mu dowlec się do sofy. Padł na nią jak martwe drzewo. Gęste, kędzierzawe włosy zasłoniły jego twarz. Wyglądał jakby umarł i leżał na tej wersalce już od dłuższego czasu. Zrobiło mi się zimno.

W pomieszczeniu panował nieprawdopodobny wręcz bałagan. Butelki po whisky i puszki po piwie straszyły w każdym kącie, a powietrze – zatęchłe z braku wietrzenia – przesycone było charakterystyczną wonią pleśni. Ta, czarna i wstrętna, utworzyła na ścianach pionowe smugi biegnące od dołu ku górze, co sprawiało, że mieszkanie Gorana nabrało cech opuszczonego grobu, stopniowo trawionego przez organizmy śmierciożerne.

Zostawiłem go śpiącego na sofie, zobowiązując się przed samym sobą do systematycznego sprawdzania, czy wszystko u niego w porządku. Coś mi się nie chciało wierzyć, iż rzeczywiście chodzi do pracy. Byłem prawie pewien, że utracił ją jakiś czas temu, lecz wstydził się do tego przyznać. Poza tym, znając go, prawdopodobnie nie chciał mnie martwić swoimi problemami.

Już miałem opuścić mieszkanie Gorana, kiedy nagle przed moimi oczyma błysnęło ostre światło, podobne do błyskawicy. Po chwili w całym pomieszczeniu rozległ się huk do złudzenia podobny do odgłosu uderzenia pioruna. Nic, poza mną samym, nie zareagowało na grzmot, pomimo jego





ogromnej siły. Goran nawet się nie poruszył, a pajak zawieszony pośrodku sporej pajęczyny nad drzwiami ani drgnął. Czyżbym oszalał? A może w tym miejscu zaczęła się jakaś zła siła, która skaziła też mojego przyjaciela? Przez parę minut stałem nieruchomo, wciąż nie mogąc się otrząsnąć. Bolały mnie uszy, trzęsły mi się ręce. Czułem się rozbity i zagubiony.

Gdy wybudziłem się z owego marazmu i zdołałem opuścić obskurne mieszkanie, wszystko wróciło do normalności. Zachłannie łykałem świeże, jesienne powietrze, pachnące podeschniętymi liśćmi i dymem z ognisk. Muśnięcia babiego lata na twarzy sprawiały mi niewyobrażalną rozkosz, zupełnie jakby to nie cieniutkie nitki, a skrzydła niewidzialnych wrózek delikatnie dotykały mojej skóry.

Szedłem przed siebie, nie zastanawiając się nawet dokąd. Prowadziły mnie moje własne nogi, bez kontroli umysłu. Wzrok nieustannie wędrował mi w kierunku fortyfikacji, które przyciągały mnie do siebie jak gigantyczny magnes. Nie mogłem już dłużej czekać na Gorana. Nie zanosilo się na to, że poczuje się na siłach, by wcielić w życie nasz całym już wiekowy plan zwiedzenia obwarowań.

Przypomniał mi się „Piknik pod Wiszącą Skałą” i na tę myśl ogarnęło mnie wyjątkowo nieprzyjemne uczucie. A może tam coś siedzi? Może to zły pomysł? Skąd ten dziwny magnetyzm owego miejsca? Coś wisiało w powietrzu – oprócz szarych, nastroszonych chmur. Coś jeszcze. Ir-racjonalne lęki, atawizmy oraz reminiscencje filmowe mieszały mi się dość paskudnie w zmęczonej głowie. Najchętniej, wzorem mojego przyjaciela, rzuciłbym się teraz na sofę i zapadł w sen. Byłem u kresu.

Popadłem w coś w rodzaju transu. Błądząc myślami po starej fortecy, zatraciłem się w majakach i urojeniach. Raz

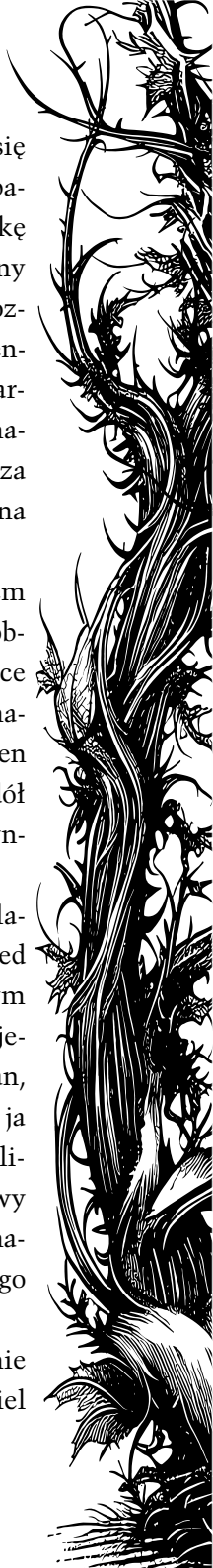


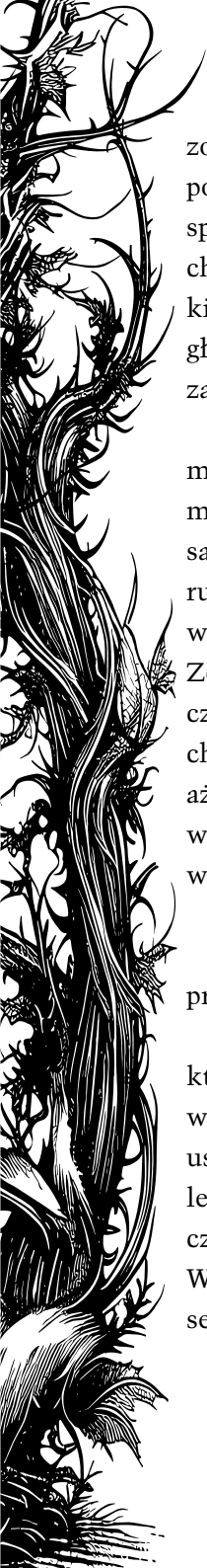
zdawało mi się, że chodzę po stromych stopniach, pnę się w górę coraz wyżej i wyżej, zachłyśnięty wdychanym oparem mgły, raz znowu widziałem u szczytu wzgórza sylwetkę Gorana. Stał niczym „Wędrowiec” Friedricha, zapatrzony w rozciągniętą u podnóża wzniesienia zabudowę, a wiatr rozwiewał mu poły czarnego płaszcza. Nawet fryzurę miał identyczną, tylko sceneria była zgoła inna. Ze ściśniętym gardłem wpiłem się oczyma w jego plecy, w ten naiwnie magiczny sposób usiłując go ochronić. Przeczuałem, że za chwilę stanie się coś strasznego, co nazaczy mnie już na zawsze.

Sen na jawie stał się przerażająco realistyczny. Zacząłem się dusić mgłą oraz własną śliną, która w wyniku stresu obficie napływała mi do ust. Kaślałem i mrużyłem oczy, serce biło mi jak oszalałe, a krew gwałtownie pulsowała w nabrzmiąłych skroniach. Czekałem na ten moment – na ten okropny moment, kiedy to zobaczę go lecącego głową w dół w błękitno-szarą czeluść, na podobieństwo Lucyfera ze słynnej ryciny Gustave Doré.

On tam naprawdę był, ale jakim sposobem? I jak znalazłem się tam również ja? Przecież jeszcze dosłownie przed pięcioma minutami obaj przebywaliśmy w jego obskurnym mieszkanku zaśmieconym butelkami, resztkami niedojdzonych posiłków i niepraną od tygodni odzieżą, Goran, kompletnie pijany, leżał nieprzytomny na swojej sofie, a ja stałem pod drzwiami, gotowy do opuszczenia tego obrzydliwego miejsca. Teraz natomiast mój przyjaciel, trzeźwy i przytomny, stał na skraju przepaści, ja natomiast, kilkanaście metrów za nim, modliłem się sam już nie wiem do kogo i do czego, by się w tę przepaść nie rzucił.

Spojrzałem pod nogi, dookoła, do góry. Zmysły mnie nie myliły, nie oszalałem: jakimś sposobem ja i mój przyjaciel





zostaliśmy obaj przeniesieni na wzgórze. Znajdowaliśmy się pośrodku obłoku, który widziany wcześniej z oddolnej perspektywy, już wtedy napawał mnie grozą. Teraz owa żywa chmura otaczała nas zewsząd niczym kokon utkany z lepkich, pajęczych nici. Chłód wgryzał mi się w kości, a śliskie głązy pod nogami stwarzały poczucie zagrożenia, gdyż od zawsze nieco obawiałem się stania nad przepaścią.

Chmura zgęstniała tak bardzo, że całe leżące w dole miasto zupełnie zniknęło z horyzontu, ukryte za mlecznym murem. Widziałem już tylko Gorana, który wciąż stał w tej samej pozycji. Stopniowo zacząłem odczuwać intensywny ruch dużych mas powietrza, które napierały na mnie ze wszystkich stron, aż w końcu zacząłem tracić równowagę. Zdołałem już nawet uwierzyć we własną teorię, jakoby moje czepianie się wzrokiem Goranowego płaszcza jednocześnie chroniło jego samego przed fatalnym upadkiem w przepaść, aż tu nagle, ku mojej rozpacz i przerażeniu, ciemna sylwetka zachwiała się, po czym runęła w otchłań, wessana w białe odmęty.

– Goran! – zawołałem.

Mój głos długo niósł się smętnym echem po okolicy, przeciągły niczym zawodzenie potępieńca.

Odpowiedział mi odgłos urwanego fragmentu skały, który, odłączywszy się od większej struktury – czy to samego wzgórza, czy to nadgryzionych zębem czasu, gdzieniegdzie uszkodzonych i popękanych obwarowań – ze świstem przeleciał tuż przed moją twarzą, by następnie z łoskotem stoczyć się po stromym zboczu. Szarpały mną ostre dreszcze. Wiedziałem, że to już koniec, ale odurzony resztkami bezsensownej nadziei postanowiłem zawołać go ponownie.

– Goran!



Niespodziewanie poczułem koło siebie czyjąś obecność. Czyżby to duch mojego na pewno już nieżyjącego przyjaciela zegnał się ze mną w tak sentymentalny sposób, zupełnie niepodobny do niego. Tak szorstki, konkretny w obejściu człowiek nigdy nie musnąłby palcami niczyjej twarzy, a już na pewno mojej. To nie on... Kto więc? Desperacko wodziłem wzrokiem dookoła w nadziei, że coś lub kogoś zobaczę.

Moje zwątpienie we własną poczytalność sięgnęło punktu kulminacyjnego, kiedy nagle spostrzegłem przed sobą znajomo wyglądającą postać: długie pasma rudych włosów, podobne do zakrwawionych strzępów pajęczyn, powiewały na wietrze dookoła trupiobladej, niemal przezroczystej twarzy, formując coś na kształt złowrogiej aureoli. Z oczu i otwartych ust wydostawał się czarny dym.

– Autumnna! – zawołałem.

Nie miałem już żadnych złudzeń. Napotkana przeze mnie rzekoma amerykańska turystka okazała się demonem, który omotał, a następnie zabił mojego przyjaciela. Czy to ją miał na myśli przytakując mi, kiedy zapytałem, czy za jego stan odpowiada kobieta?


– Dlaczego? Dlaczego on? – zapytałem.

Milczała. Wydobywający się z jej oczu i ust czarny dym zaczął boleśnie wгрыzać mi się w oczy, parząc je niczym żywy ogień.

– Dlaczego zabiłaś Gorana? Co ci zrobił, że tak z nim postąpiłaś?

Szeroko rozwarła usta, na podobieństwo postaci na obrazie Edvarda Muncha. Istotnie, ona też krzyczała: krzyczała wichurą i kłębami gorącej sadzy, której drobinki oblepiły mi całe policzki. Ból palonej żywcem twarzy był nie do zniesienia. Przykucnąłem, a następnie, obalony przez cierpienie, zwinąłem się w kłębek. Straciłem przytomność.





Gdy tak leżałem bez życia na twardych, śliskich kamieniach – szkielecie średniowiecznego bastionu, zobaczyłem we śnie, a może w przerażającej wizji rzeczywistości, roztrzaskane o skały zwłoki mojego przyjaciela. Fragmenty zakrwawionych zwojów mózgu, wydostawszy się ze szczelin w pogruchotanej czaszce, z daleka przypominały kiść soczystych, jasnoróżowych winogron. Szeroko rozwarte oczy skierowane były w górę, zwrócone dokładnie w miejsce, gdzie stała Autumnna.

W nekrologu napisano o nieszczęśliwym wypadku. Nalegałem, by podano tam całą prawdę, opisano nieszczęsną historię Gorana i tym sposobem ostrzeżono innych przed złowrogim demonem. Na próżno. Redaktor spojrział na mnie jak na psychicznie chorego. Uśmiechnął się pobłaźliwie, odchrząknął, po czym dał mi do zrozumienia, że zamierza opisać fakty, a nie *urban legends*, czy też rojenia mojej rozszalałej wyobraźni.

Nie spotkałem Autumnny już nigdy więcej. Do dziś niszczy mnie przerażająca świadomość, że być może właśnie teraz, w Kotor, w Ulcinj, lub może w ogóle w innym kraju czy miejscu na ziemi, to samo monstrum zwodzi i uśmierca kolejne ofiary. Obsesja narasta, proporcjonalnie do rozmiarów mojej katastrofalnej bezsilności. Niedawno zakupiłem nawet dość wierną kopię obrazu Millaisa. Patrę właśnie teraz na niewinną, a zarazem dziwnie bezwzględną twarz rudowłosej dziewczyny, zamykam oczy i zapadam się w ciemność.





Cisza przeszłości

D.A.Recki

Wróciliśmy tam, gdzie wszystko się zaczęło, nie wiedząc, że tam też wszystko się skończy.


Z okien opuszczonego budynku starej szkoły widziałem zardzewiałe huštawki, kotylszące się na wietrze. Jakby miejsce, które kiedyś znałem, powoli umierało, a resztki życia czaiły się w najmniej spodziewanych zakamarkach. Wróciliśmy tu, jak co pięć lat, aby wspominać szkolne czasy, starać się zatrzymać młodość, której dawno już nie było.

Kamil – nasz nieformalny lider, zawsze pewny siebie i śmiały. Nawet teraz, gdy zmarszczki kreśliły jego czoło, zarażał nas swoim uśmiechem. Agnieszka, jak zwykle cicha i powściągliwa, trzymała się w cieniu, choć jej oczy bacznie obserwowały wszystko wokół. Bartek, wielki i przytłaczający swoją obecnością, niezmiennie robił wrażenie swoimi opowieściami o sukcesach biznesowych. Paweł, nasz grupy klaun, przyniósł skrzynkę piwa, próbując podtrzymać luźną atmosferę.

I ja – Krzysiek, stojący zawsze trochę z boku. Myślałem, że to ja jestem tym obserwatorem, ale za sprawą późniejszych wydarzeń zrozumiałem, jak niewiele wiedziałem.

Nie było już Dominika. Zniknął kilka lat temu, zaraz po naszej ostatniej rocznicy. Nikt nie mówił o nim otwarcie, jakby jego nieobecność była czymś, co wszyscy staraliśmy się ignorować. A jednak jego cień ciążył nad nami. To przecież Dominik był inicjatorem wszystkiego. To on wymyślił „Ostatni Klub”. Spotkania co pięć lat w starym budynku szkoły, gdzie mieliśmy świętować swoje sukcesy i wspominać młodość.





Dominik zawsze był inny. Drobniejszy, mniej pewny siebie, ale to jego dziwaczne pomysły trzymały nas razem przez te lata. Pamiętam, jak w ósmej klasie przyszedł do nas z tą nieśmiałą propozycją: „Założmy klub. Ostatni Klub. Będziemy się spotykać po latach. Tylko nasza szóstka.” Wszyscy uznaliśmy to za głupi, ale zabawny pomysł, taki sposób na utrzymanie przyjaźni. Nikt nie wiedział wtedy, jak bardzo myliliśmy się co do jego prawdziwych intencji.

* * *

Kiedy weszliśmy do naszej starej sali lekcyjnej, poczuliśmy ciężar wspomnień. Ławki były pokryte kurzem, a tablica, na której nauczycielka zawsze kreśliła równania, wyglądała tak, jakby nikt jej nie dotykał od lat. Kamil, jak to miał w zwyczaju, rozsiadł się na biurku, śmiejąc się na całe gardło.

– Pamiętacie, jak Dominik zawsze bał się tej klasy? – rzucił z lekceważeniem.

Śmiech był przymuszony, jakbyśmy próbowali zagłuszyć coś, czego nikt nie chciał wyrazić na głos. Paweł otworzył piwo i podał je każdemu.

– Za Dominika! – zawołał, podnosząc butelkę.

Reszta powtórzyła toast, choć nikt nie patrzył nikomu w oczy. Nagle światła zamrugały, a potem zgasły.

– Kto to robi? – zapytał Bartek, podchodząc do włącznika.

Cisza. Słychać było tylko szelest wiatru na zewnątrz i nasze przyspieszone oddechy. Kamil, zawsze pewny siebie, wstał.

– Dobra, to pewnie stary generator. Zobaczę na dole.

Ruszył ku drzwiom, ale zanim do nich dotarł, zatrzasnęły się z hukiem. Przysięgam, że widziałem wtedy cień, jakby ktoś za nimi stał, ale nikt z nas nie miał odwagi tego sprawdzić.

– Co jest, do cholery? – warknął Bartek. Nagle jego zwykła brawura zniknęła, a w oczach pojawił się lęk.

Agnieszka, która dotychczas milczała, wzięła głęboki oddech i cicho powiedziała:

– To nie może być przypadek. Dominik chciał, żebyśmy tu wrócili. On... on nie odszedł tak po prostu. Wiedział coś, czego my nie wiemy.

W ciszy, która zapadła, każdy z nas przypomniał sobie, co naprawdę wydarzyło się lata temu. Zniknięcie Dominika, jego dziwne zachowanie na ostatnim spotkaniu, słowa, które wypowiadał, jakby wiedział, że coś nadchodzi.


Zanim ktokolwiek z nas zdążył się odezwać, usłyszeliśmy kroki na korytarzu. Ciężkie, powolne kroki. Kamil chwycił krzesło, jakby to miało go chronić, a Agnieszka zaczęła płakać. Nagle drzwi otworzyły się na oścież. Stał tam Dominik. Ale to nie był ten sam chłopak, którego pamiętałem.

Jego oczy były puste, a ciało wydawało się... niekompletne. Jakby brakowało mu części, a mimo to był tam. Spojrzał na nas i uśmiechnął się.

– Czas wrócić do klubu – wyszeptał głosem brzmiącym jak echo, jakby dochodził z innego miejsca.

Stał tak w progu, a jego uśmiech przeszywał nas do szpiku kości. Powolnym krokiem wszedł do środka, jakby czas nie miał dla niego żadnego znaczenia. Każdy z nas zamarł, nie wiedząc, czy to, co widzimy, jest prawdą, czy jedynie wytworem naszych umysłów. A może to wina ciemności? Może to tylko złudzenie, może efekt braku światła?





Ale on tam był. Prawdziwy. Żywy... a może nie do końca.

– Czekałem na was – powiedział cicho, tonem przyprowadzającym o dreszcze. – Przez te wszystkie lata. Wiedziałem, że w końcu wrócicie.

– To niemożliwe – wykrztusił Paweł, cofając się o krok. – Ty... ty zniknąłeś... przecież cię nie było!

Dominik tylko uśmiechnął się szerzej, ukazując zęby, które wyglądały zbyt ostro i były zbyt długie jak na człowieka. Jego skóra, bladoniebieska, zdawała się pulsować, wypełniać się czymś, czego nie mogliśmy zrozumieć. Coś w nim było nieludzkiego, jakby jego ciało należało już do czegoś innego.

– Nie zniknąłem. Czekałem – odpowiedział, powoli przesuwając wzrok po każdym z nas. – Pamiętacie, jak zawsze chcieliście się bawić? Jak wy, wielcy przyjaciele, robiliście sobie żarty?

Zamilkliśmy. Wspomnienia uderzyły jak fala – wszystkie te lata spędzone razem, wszystkie głupie żarty, które robiliśmy sobie nawzajem. Ale jeden z tych żartów... to wtedy zaczęło się psuć. Ten jeden żart, który poszedł za daleko.

– To było... tylko dla zabawy – wymamrotał Kamil, ścisnąc krzesło mocniej, jakby mogło ono mu pomóc. – Nie wiedzieliśmy, że...

– Że zrujnujecie mi życie? – przerwał Dominik, nagle śmiertelnie poważny. Jego uśmiech zniknął. – Że sprawicie, iż każdy dzień mojego życia stanie się piekłem? Wiedzieliście, ale nic nie zrobiliście. Bo to był tylko żart, prawda?

Zaczął się śmiać, ale ten śmiech był pusty, nieludzki. Odbijał się echem od ścian, aż wreszcie urwał się tak nagle, jak się zaczął.

– Nie wiedzieliśmy! – krzyknęła Agnieszka, jej głos drżał. Łzy spływały jej po policzkach. – My... my nie chcieliśmy, żeby to poszło tak daleko. To była tylko zabawa!

– Zabawa? – powoli podszedł do niej. – To była zabawa, gdy zamknęliście mnie na noc w piwnicy starej szkoły? Gdy wiedzieliście, że nikt po mnie nie przyjdzie? Gdy wiedzieliście, że... – urwał, jakby próbował złapać oddech. – Wiedzieliście, co tam na mnie czekało.

Zamilkliśmy. Wszyscy wiedzieliśmy o tej piwnicy. Były opowieści, straszne historie o duchach i cieniach, które się tam czaiły. Ale nie wierzyliśmy w nie. Nikt z nas nie wierzył. Wtedy byliśmy dziećmi, pewnymi siebie nastolatkami, którzy uważali, że mogą wszystko. Dominik był ofiarą naszego okrutnego żartu.

Teraz patrzył na nas oczami, które nie przypominały już ludzkich. Czułem, jak lód przenika mnie na wskroś, kiedy jego wzrok spoczął na mnie.

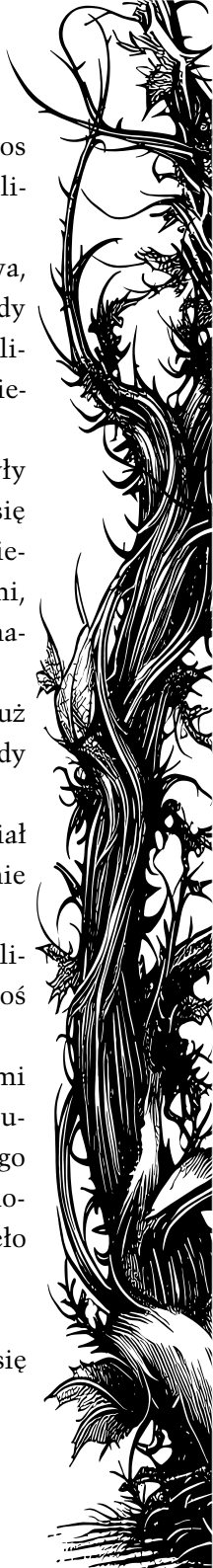
– Pamiętacie, jak obiecaliście, że wrócicie? – powiedział cicho. – Obiecaliście, że wrócicie po mnie, ale nigdy tego nie zrobiliście.


W ciszy każdy z nas zdał sobie sprawę z tego, co zrobiliśmy. To nie był tylko niewinny żart. To był początek czegoś znacznie gorszego, czegoś, co teraz miało wrócić po nas.

Światła zaczęły migotać, a podłoga pod naszymi stopami zaczęła drżeć. Paweł wykrzyknął coś niezrozumiałego, rzucając się w kierunku drzwi, ale nim do nich dotarł, coś go chwyciło. Niewidzialna siła, jakby ciemność sama postanowiła go złapać. Krzyczał, szarpał się, ale jego ciało zniknęło w ciemnościach, jakby nigdy go tam nie było.

Kamil upuścił krzesło, z trudem łapiąc oddech.

– Co tu się dzieje? – zawołał przerażony, cofając się w kąt.





Bartek zaczął kląć pod nosem, ale widziałem, że jego ręce się trzęsły. Dominik uśmiechnął się ponownie.

– Wróciliście. I teraz to wy będziecie bawić się ze mną.

Nie wiedzieliśmy, jak długo to trwało. Każdy z nas próbował uciec, znaleźć wyjście, ale coś w tej szkole się zmieniło. Ściany zdawały się przemieszczać, korytarze się wydłużały, a my byliśmy coraz bardziej odcięci od rzeczywistości. Dominik śledził nas krok w krok, obserwując, jak popadamy w obłąd.

A potem, jeden po drugim, zaczęliśmy znikać.





Krew i korzenie

D.A.Recki

Od pierwszego dnia czułem, że coś jest nie tak. Choć nie widziałem ojca od lat, a matka zginęła w wypadku, ten dom, do którego powróciłem po latach, budził we mnie niepokój. Ściany, dawniej pełne ciepła i wspomnień, teraz wydawały się przesiąknięte tajemnicami. Drewniane podłogi skrzyślały pod moimi stopami, jakby chciały mi coś powiedzieć. A może to tylko mój umysł płatał mi figle?

Ojciec był chory, bardzo chory. Wysłany przez niego list nie mówił o szczegółach, tylko że czas jest już na wyczerpaniu i że chce się ze mną zobaczyć. Dlaczego mnie wzywa? Dlaczego teraz, po tylu latach ciszy? Chociaż żadne z tych pytań nie miało odpowiedzi, czułem obowiązek wrócić. Może podświadomie chciałem znaleźć wyjaśnienie czegoś, czego nigdy nie miałem odwagi zrozumieć.


Dom, stojący na skraju lasu, wydawał się bardziej zrujnowany, niż zapamiętałem. Zarośnięty dzikimi winoroślami, które oplatały ściany jak macki potwora, wyglądał, jakby żył własnym życiem, ale tym razem to życie wydawało się bardziej złowrogie.

Wewnątrz pachniało stęchlizną i starością. Na kominku widziałem zdjęcia rodziny, ale były one pokryte kurzem, jakby nikt nie chciał ich oglądać. Ojcowska laska była oparciem dla jego zmęczonego ciała, gdy siedział w ciemnym kącie pokoju.

– Wróciłeś – jego głos był słaby, lecz nie brakowało w nim pewnej goryczy. – Chciałem, żebyś wiedział.

– Wiedział co? – zapytałem, czując rosnące we mnie napięcie. Czego on ode mnie chciał?





– O rodzinie – odrzekł, patrząc na mnie oczyma, które kiedyś były pełne siły, a teraz... były puste.

Wieczorem, gdy zapadł zmierzch, ojciec powiedział mi o czymś, co zmieniło wszystko. O rodzinnej tajemnicy, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. O ziemi, na której stał nasz dom. O krwi, która musiała być przelana, aby zachować... równowagę.

– Zawsze myślałem, że mnie to nie dotyczy – mówił. – Ale to błąd. Wielki błąd.

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem. Kult, tajemne rytuały, ofiary. Wszystko brzmiało jak brednie starego człowieka. A jednak... coś w jego głosie sprawiało, że czułem, iż mówił prawdę. Opowiadał o prastarych rytuałach, które miały zapewniać pomyślność rodzinie, ale które kosztowały życie tych, którzy nie należeli do „wybranych”. Życie na tej ziemi wymagało ofiary – i ta ofiara była przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Kiedy ojciec zamknął oczy, myślałem, że to koniec. Że teraz mogę wyjechać i zapomnieć o wszystkim. Ale to nie był koniec. Kiedy przeszukiwałem jego pokój, znalazłem dziennik, zapisany chaotycznie, pełen strzępków myśli i wspomnień, których nigdy nie znałem.

Jedna z ostatnich notatek mówiła jasno: „On jest następny”.

Byłem następny.

Zacząłem czuć, że coś obserwuje mnie z ciemności. Dźwięki z lasu zdawały się coraz bardziej niepokojące, a dom stał się jak pułapka, z której nie mogłem uciec. Tej nocy, gdy wszystko wydawało się cichnąć, usłyszałem odgłos kroków za oknem. Podeszedłem do niego i spojrzałem w stronę lasu.

Zobaczyłem tam sylwetkę. Stała tam, nieruchoma, patrząc wprost na mnie. Przysięgam, że to była matka, choć

wiedziałem, że nie mogła nią być. Zniknęła lata temu, ale jej duch, jej cień, teraz powrócił.

Im dłużej przebywałem w domu, tym bardziej odczuwałem jego dziwną, opresyjną atmosferę. Byłem coraz bardziej przekonany, że to nie ja kontroluję sytuację, lecz coś... coś znacznie starszego. Z dnia na dzień zacząłem mieć coraz dziwniejsze sny. W jednym z nich widziałem swoją matkę, biegnącą po lesie, jakby przed czymś uciekała. W innych widziałem siebie, stojącego nad świeżym grobem, trzymającego w rękach nóż.

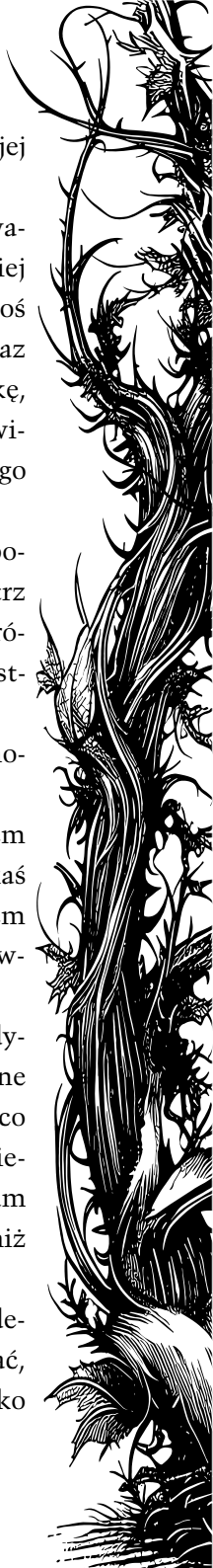
Ostatnia noc była najgorsza. Znowu zobaczyłem tę postać. Tym razem nie stała już za oknem. Była wewnątrz domu, a ja czułem jej obecność za plecami. Kiedy się odwróciłem, nikogo tam nie było, ale powietrze wokół mnie zgęstniało, jakby coś przyciskało mnie do ziemi.

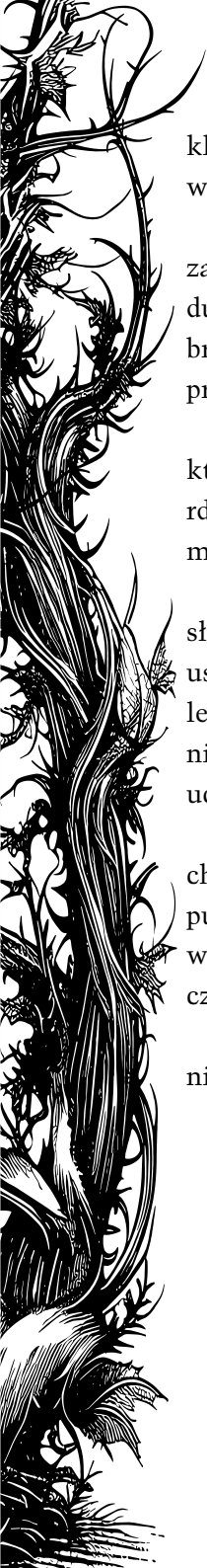
– To musi się skończyć – usłyszałem głos ojca, dochodzący z ciemności. – Zrób to, czego ja nie mogłem.

Wtedy zrozumiałem, że chodzi o mnie. To ja miałem być kolejną ofiarą. Ale dlaczego? Czy naprawdę istniała jakaś starożytna klątwa? Czy to tylko szaleństwo? To, co zrobiłem tej nocy, miało przynieść ostateczne rozwiązanie... ale również coś, czego nigdy bym się nie spodziewał.

Noc była gęsta, a dom, choć cichy, wydawał się oddychać ciemnością. Słyszałem szelest w ścianach, delikatne drżenie powietrza, jakby coś krążyło wokół mnie. Po tym, co powiedział ojciec, wiedziałem, że nie ma odwrotu. Wyjaśnienie tajemnicy stało się moją obsesją, ale teraz, stojąc sam w sercu tego domu, czułem, że odpowiedzi były bliżej, niż bym chciał.

Pod podłogą, w piwnicy, znalazłem stare, zbutwiałe deski, które nosiły ślady dawnych ofiar. Zaczęły się poruszać, jakby coś wewnątrz chciało się wydostać. To nie była tylko





klątwa. To była... esencja czegoś pradawnego, ukryta w ziemi, na której stał dom.

Poczułem silny ból w piersi i upadłem na kolana. Serce zaczęło bić nienaturalnie szybko, a ja zrozumiałem, że coś – duch, siła – przenika do mojego ciała. Byłem kolejnym wybranym. Rodzinne korzenie, które miały mnie chronić, teraz próbowały mnie zniszczyć.

W ostatnim akcie desperacji, wyciągnąłem stary nóż, który ojciec trzymał pod poduszką. Okrutne ostrze, pokryte rdzą, wydawało się pulsować w mojej dłoni. Wiedziałem, co muszę zrobić.

Zrobiłem to. Wbiłem nóż w ziemię, tam, gdzie wedle słów ojca znajdował się prastary ołtarz, i w tej samej chwili usłyszałem krzyk. Krzyk, który wydobył się nie z moich ust, lecz z głębi domu. Ściany zaczęły pękać, a powietrze zgęstniało, jakby całe miejsce chciało mnie pochłonąć. Krzyk ucichł nagle, a wtedy poczułem lodowaty spokój.

Kiedy otworzyłem oczy, wszystko było inne. Ciała, duchy, wszystko, co czułem i widziałem – zniknęło. Dom stał pusty. Ale wiedziałem, że coś przetrwało. W mojej krwi... w moim ciele. Cokolwiek próbowałem zniszczyć, teraz było częścią mnie.

Opuściłem ten dom, wiedząc, że przeszłość nigdy mnie nie opuści.







Zaginął koteczek

Tomasz Siwiec

– Uleczko, nie martw się. Kiciunia na pewno się znajdzie. Pomogę ci.

Aneta przytuliła przyjaciółkę i poklepała ją po plecach.

– Pomożesz? – zapytała ochryłym głosem.

– Przecież wiesz, że tak. Wiem, jak bardzo byłaś do niego przywiązana.

Zapłakana Ula przetarła czerwone od płaczu oczy i spojrzała na fotografię kotka, którą trzymała w dłoni.

– Nie mam pojęcia, dlaczego uciekł. Miał przecież wszystko czego było mu trzeba. Odstąpiłam mu nawet osobne pomieszczenie.

– Wiem, kochana – odparła Aneta. – Zaraz zamieszczę ogłoszenie na mediach społecznościowych. Wrzucimy zdjęcie Kiciuni na Facebooka, Instagrama i TikToka, więc przypuszczam, że szybko się znajdzie.

– Dziękuję ci bardzo. Ja już drugi dzień nie zmrzyłam oka. Boję się, że coś mu się stanie. Kiciunia nie jest przystosowana do życia na zewnątrz. Staralam się mu tutaj zastąpić cały świat.


Aneta zerknęła na fotografię. Wielkie zielone kocie oczy wpatrywały się w jakiś punkt.

– Skoro to już drugi dzień, to nie ma na co czekać, tylko działamy. Może powinnaś rozważyć założenie konta na Facebooku. Nie chodzi o to, byś coś publikowała, ale na przykład w takich sytuacjach ten portal może okazać się bardzo pomocny.

Ula wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że nie jestem, jak się to mówi – przez chwilę się zastanawiała. – Ogarnięta technicznie.





– Dobrze, to najpierw wrzucmy ogłoszenie o poszukiwaniach na moje konto, a potem ci wszystko pokażę.

Ula pokornie skinęła głową i sięgnęła po chusteczkę. Aneta przez chwile klikała w telefonie, aż w końcu podsunęła pod nos przyjaciółki ekran.

– Tak może być?

BLAGAM O POMOC – ZAGINAŁ MÓJ UKOCHANY KOTEK.

Kiciunia najprawdopodobniej uciekła przez okno w nocy. Kotek nigdy wcześniej nie przebywał na zewnątrz sam. Z uwagi na swój łekliwy charakter, zawsze znajdował pod opieką właścicielki, która zwraca się do was z prośbą o pomoc w poszukiwaniach. Kotek Kiciunia jest dla niej jedynym towarzyszem życia. Jeżeli ktokolwiek go widział, proszony jest o kontakt pod numerem telefonu 649 572 346 lub zostawienie komentarza pod postem. Miejsce zamieszkania kotka: osiedle Beskidzkie w Suchej Beskidzkiej. Tam też Kiciunia widziany był po raz ostatni.

– Może być – odparła Ula.

– Do posta dokleimy jeszcze zdjęcie i wrzucamy.

Ula ponownie skinęła głową.

– Nie wyobrażam sobie życia bez niego – zaczęła szlochać. – Tak bardzo mi go potrzeba.

– Wiem, kochana. Post już został opublikowany. Z tego co widzę, to są już pierwsze udostępnienia.

– Dziękuję ci za pomoc.

– Przecież wiesz, że możesz na mnie liczyć. Wydaje mi się, że powinnaś więcej wychodzić do ludzi. A teraz dawaj komórkę. Założymy ci konto na Facebooku.

Zanim Aneta wróciła do domu, pomogła swojej najlepszej przyjaciółce rozkleić wydrukowane na papierze komunikaty na tablicach ogłoszeniowych po całym mieście. Zmęczona kilkugodzinnym chodzeniem, padła na łóżko i sięgnęła po telefon. Ku swojemu zaskoczeniu zauważyła, że post o zaginionym kocie miał już ponad 150 udostępnień. Ludzie włączyli się w kampanię poszukiwawczą. Dostrzegła także, że ma nowe zaproszenie do grona znajomych. Kliknęła w powiadomienie i okazało się, że jest to zaproszenie od Uli. Szybko zaakceptowała propozycję i weszła na konto przyjaciółki. Na koncie Uli znajdował się krótki filmik, na którym zapłakana dziewczyna prosi o pomoc w poszukiwaniach. Jej post również miał sporo udostępnień. „Jest jeszcze nadzieja w ludzkości” – wyszeptła pod nosem i zwlekła się z łóżka. Po ciężkim dniu nie marzyła o niczym innym, niż gorący prysznic. Ogromnie liczyła na to, że kochany kotek Uli się odnajdzie. Widziała, jak bardzo jej serdeczna przyjaciółka przeżywa rozłąkę. Ula nie była zbyt rozrywkową osobą, dlatego zwykły kotek stał się dla niej najwierniejszym przyjacielem. Wcześniej też miała inne koty, ale jakoś nieszczęśliwie podobno zabierały je choroby. Dlatego tym bardziej przeżywała obecną sytuację. Kotek, którego bezwarunkowo pokochała, postanowił się oddalić. Oby tylko jak najszybciej się odnalazł cały i zdrowy.


Anetę obudził telefon. Zaspana zerwała się z poduszki i sięgnęła w kierunku nocnej szafki.

– Słucham cię, Ulcia.

– Jest! – wrzasnęła uradowana. – Odnalazł się! Kiciunia się odnalazł!

Aneta westchnęła z ulgą.





– Ależ to cudowna wiadomość, kochana. Ogromnie się cieszę!

– Ja również. Dosłownie pół godzinki temu jakaś pani zapukała do drzwi i powiedziała, że go odnalazła. Mówiła, że widziała ogłoszenie na Facebooku i stąd skojarzyła kotka, który podobno wałęsał się gdzieś obok jej koszy na śmieci.

– Pewnie zgłodniał od tej wędrownki. To najwspanialsza wiadomość, jaką mogłam usłyszeć rano. Teraz musisz go tym bardziej pilnować.

– Zdecydowanie – odparła Ula. – Jestem najszczęśliwszą osobą na świecie! Koniecznie muszę napisać podziękowania na Facebooku. Tak wiele osób zdecydowało się go szukać. Ludzie są wspaniali. Jeszcze raz dziękuję ci, kochana, za pomoc.

Ula zamieściła krótki post, w którym podziękowała za wszystkie udostępnienia. Napisała, że Kiciunia się odnalazł cały i zdrowy. *„Bardzo, bardzo Wam wszystkim dziękuję za okazane zrozumienie i pomoc.”* W jednej chwili pod postem pojawiło się dziesiątki serduszek.

Odłożyła telefon i zerknęła na kotka. Szary sierściuch wpatrywał się w nią zielonymi oczkami. Kiedy wstała z krzesła, zwierzę próbowało czmychnąć, ale zagroziła mu drogę. Szybkim ruchem pochwyciła futrzaka i głaszcząc go po głowie, skierowała się w kierunku jego pokoju.

– Niedobry Kiciunia – skwitowała, odkładając zwierzę do kuwety. – Teraz musimy wszystko zaczynać od początku. A było już tak blisko.


Zbliżyła się do okna i sprawdziła, czy aby na pewno jest szczelnie zamknięte. Chciała uniknąć kolejnej przykrej sytuacji. Następnie podeszła do szafy i wyciągnęła z niej stawy. Rozłożyła przedmiot w rogu pokoju, po czym

zamontowała na nim niewielką kamerę. To była jej słodka tajemnica, o której wiedziały jedynie ona i jej poprzednie kotki. Po prostu lubiła rejestrować ich ostatnie chwile. Nie żadne tam krwawe mordowanie, ale zwykłe zagłodzenie na śmierć. Coś zdumiewającego było w widoku, kiedy kotek zaczyna się kurczyć. Nie mogła oderwać oczu od wielogodzinnego filmu, na którym zwierzę traci siły, zaczyna się ślaniać i szukać wody oraz jedzenia. Powolny proces chudnięcia, wystające żebra, coraz bardziej kościste łapki...

Kotki na szczęście nie potrzebowały dużo czasu, aby zacząć się kurczyć. Już po jednym pełnym dniu widać było pierwsze efekty odwodnienia. Czasami umierały z odwodnienia, a innym razem z głodu. Niekiedy przedłużała ich agonię, od czasu do czasu podając im tylko wodę. Nie do końca mogła wytłumaczyć, dlaczego ten obraz wywoływał u niej dreszcze, ale po setkach obejrzanych horrorów, filmów snuff czy gore, ciężko było znaleźć obrazy, które ją „ruszały”. Dlatego właśnie sama postanowiła nagrywać dla siebie tego typu filmy. Siadała wygodnie w fotelu i popijając colę oraz zajadając się chipsami, obserwowała powolny proces. Zawsze wtedy miała gęsią skórkę. Na serio była ogromnie wdzięczna, że ludzie tak ochoczo postanowili jej pomóc w odnalezieniu kotka. Byli kochani.

Zerknęła na półkę z kartami pamięci, na których rejestrowała filmy. Było ich już tam kilkanaście. Pamiętała, że pierwsze filmy wywoływały u niej większe emocje niż te ostatnie. Wciąż oglądało się je dobrze, jednak wyraźnie poziom emocji malał. Zanim wyszła z pokoju upewniła się, że na ekranie kamery miga napis REC. Prerażony kotek odprowadzał ją wzrokiem, kiedy zamknęła drzwi. Widzimy się za kilka dni, wyszeptała, opuszczając pomieszczenie. W tym





momencie wpadł jej do głowy pomysł, jak podkreślić emocje w filmach. Skoro kotki już jej tak nie ruszają, to może...

Sięgnęła po telefon i wybrała numer do swojej przyjaciółki Anety.

– No cześć, kochana – zawołała na kolejne powitanie. – Przepraszam, że ci znowu zawracam głowę, ale będę miała do ciebie jeszcze jedną prośbę. Czy mogłabyś wpaść do mnie, powiedzmy pojutrze? Od razu zaznaczam, że może to być dłuższe spotkanie.

– Dłuższe spotkanie, powiadasz... No pewnie, że tak – odparła po chwili. – Dobrze, że dzwonisz wcześniej, bo i tak planowałam wziąć kilka dni urlopu w najbliższym czasie, ale nie mogłam się zdecydować kiedy.

– To świetnie, Anetko. Widzimy się pojutrze. Dziękuję ci z całego serca.

– Kupię jakieś wino i może coś na zagryzkę.

– Nic nie musisz kupować – zaprotestowała. – Gwarantuję ci, że mam wszystko, co będzie nam potrzebne.

– Skoro tak mówisz. Wobec tego do zobaczenia pojutrze.

– Do zobaczenia, kochana. Pa.

Ula odłożyła telefon i podrapała się po głowie. Rzeczywiście jednej rzeczy jej brakowało. Na koty wystarczyły większe pojemnościowo karty pamięci, ale na człowieka raczej będzie potrzebny jakiś dysk zewnętrzny. Ta zabawa może potrwać o wiele, wiele dłużej...





Kropla

Lukasz Rzadkowski

Widok spływającej po szybie kropli zawsze wprowadza mnie w stan odprężenia. Poddająca się grawitacji drobna cząsteczka toruje sobie drogę po płaskiej powierzchni, na której czeka ją wiele przeszkód. Tak samo jest z każdym z nas, z tą różnicą, że naszym odpowiednikiem grawitacji jest czas – nieubłagane prowadzi do końca drogi zwanej życiem.

Po zetknięciu kropli z parapetem kuchennego okna mój prywatny teatrzyk, symbolizujący początek i koniec istnienia, dobiegł końca.

Ciało kobiety, której kropla krwi posłużyła za tę krótką i jakże prawdziwą metaforę życia, było już martwe. Nie czekając dłużej, wytarłem nóż w ścierkę i wyszedłem z domu w mrok nadciągającej nocy.





Szach-mat

Maciej Szymczak

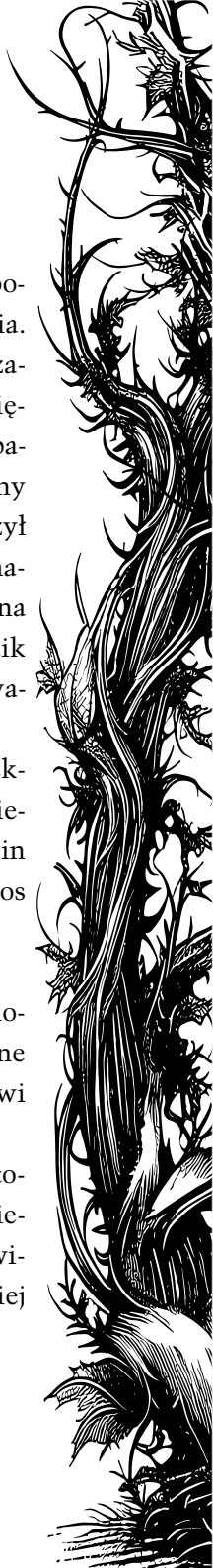
Na lotnisku zapanowała złowieszcza cisza. Tłum podróżnych, oczekujących na wylot, zamarł z przerażenia. Ucichł gwar pasażerskich rozmów, a krzyki rozwrzeszczanych dzieci zastygły w powietrzu, obracając się w dźwiękową próżnię. Tłuszcz zamarła niczym lodowe posągi, wpa-trzona w jeden konkretny punkt. Łysy, egzotycznie ubrany mężczyzna, z długą jak u świętego Mikołaja brodą, obnażył się w centrum hali. Zademonstrował plastikowe laski dyna-mitu, przyklejone do owłosionej klatki piersiowej. Ten na pierwszy rzut oka ryżobrody hipster trzymał w dłoni dżojstik z guzikiem, z którego wystawał niebieski kabelek, prowa-dzący wprost do amatorsko wykonanej bomby.

Mężczyzna wpatrywał się w sparaliżowany tłum, delektując się chwilą tryumfu. Zamierzał wymierzyć karę nie-wiernym, okupując ten czyn męczeńską śmiercią. Abdul bin Ali, niegdyś Tomasz Rogowiecki, wypowiedział na głos słowa, przed którymi drżała cała Europa:

– *Allahu Akbar!*

Potężny huk wygrzmiał w hali odlotów. Bomba eksplo-dowała, rozrywając ciało Abdula na strzępy. Zakrwawione ochłapy fruwały w powietrzu, budząc grozę. Deszcz krwi opadł na marmurową posadzkę, brudząc lśniącej płytki.

Wybuch naruszył konstrukcję budynku, zwalając beto-nowy strop na głowy rozhisteryzowanych pasażerów. Dzie-siątki osób zakończyły żywot, zagrzebane pod rumowi-skim. Abdul bin Ali wykonał misję, zabijając co najmniej trzydziestu niewiernych.





– Zatem to jest raj? – wyszeptał wzruszony Abdul.

Macał się po całym ciele, ze zdumieniem odkrywając, że jest w jednym kawałku. Nie pamiętał niczego z samobójczej akcji, po prostu pochłonęła go fala ciemności i znalazł się tutaj. Dookoła niego rozciągała się rozległa pustynia, czuł pod stopami delikatny, miałki piasek, przyjemnie łaskoczący w stopy.

Ruszył w kierunku oazy, która wyrosła przed nim niczym wyspa pośrodku wzburzonego oceanu. Wkroczył do zagajnika palm daktylowych, podziwiając kolorowy strumyk płynący korytem wzdłuż ogrodu precudnej różnorodności. Orchidee, róże, pachnące tamaryszki i setki innych egzotycznych roślin porastały ten wspaniały ogród rozkoszy.

Pod cieniem rozłożystego figowca, uginającego się pod ciężarem dorodnych owoców, siedzieli dwaj mężczyźni. Grali w jakąś grę przy rzeźbionym stole z kości słoniowej. Abdul przyjrzał się im uważnie. Przysięgłby, że gdzieś już ich widział, zwłaszcza długowłosego mężczyznę z krótko przystryżoną brodą. Nieznajomy miał na sobie białą tunikę, szarfę przetykaną lśniącą nicią i skórzane sandały. Dłońmi, na których wciąż widoczne były podłużne szramy, przesuwiał pionki.

Po szachownicy, zamiast klasycznych figur, sunęły miniaturki żywych, poruszających się ludzi. Kierowane wolą mężczyzny, przemieszczały się na wskazane pola.

Towarzyszący długowłosemu mężczyźnie gracz miał biały turban na głowie, oliwkową skórę i krzaczastą, ciemną brodę, którą mierzwił wychudzoną prawicą. Myślał intensywnie nad kolejnym ruchem, marszcząc długi, haczykowaty nos.

Abdul rozpoznał w nim swojego pana. Rzucił się na kolana, skamląc ze wzruszenia:

– *Allahu Akbar!* Oto jestem, proroku Mahomecie, wypełniłem swą misję, czekam, aż wpuścisz mnie do raju!

Mahomet ściągnął gniewnie brwi, zdenerwowany nagłym pojawieniem się intruza. Spojrzał badawczo na bladolicego brodacza zgiętego w głębokim skłonie.

– Zaprawdę powiadam ci, bracie, że nie dopełniłeś swych ziemskich obowiązków. Nie wpuszczę cię do ogrodu rozkoszy, bramy Dżannah nie staną przed tobą otworem.

Rudzielec spojrział tępo w oblicze proroka.

– Panie, ja... nie rozumiem – wybełkotał.

– Słusznie uśmierciłeś grzeszników, chwała ci za to, lecz nie mogę wpuścić cię do raju.

– Dlaczego?

– Ehh... – mruknął prorok, niezadowolony z wyniku gry. Długowłosey właśnie stracił mu pionek. – Zwróć się ze swoim problemem do boga chrześcijan, ja ci nie pomogę.

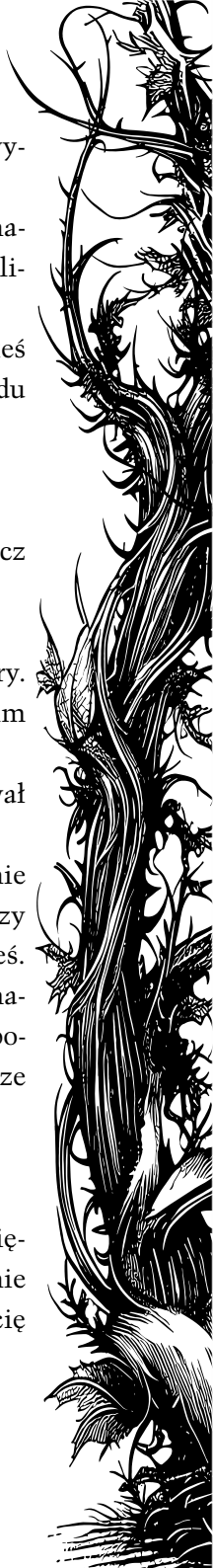
Mesjasz spojrzął z politowaniem na Abdula. Skrzyżował poranione stopy i podrapał się po bliznach na czole.


– Tomaszu, pamiętam, jak byłeś dziecięciem, wiecznie rozgadany i rozrzepany! Nie uczestniczyłeś we mszy świętej, a postanowień spowiedzi nigdy nie dotrzymywałeś. Zawsze był z ciebie Samarytanin, żyjący wbrew boskim nakazom. To nie wszystko, popełniłeś grzech śmiertelny – pokręcił głową z dezaprobatą. – Za zabójstwo braci w wierze zasługujesz na wieczne potępienie.

– Ale jak to?! Jestem przecież muzułmaninem!

Jezus parsknął śmiechem.

– Zostałeś ochrzczony w parafii pod wezwaniem świętego Wita w Poznaniu! Nie dokonałeś apostazji, więc zgodnie z prawem kanonicznym pozostałeś katolikiem. Wiesz, co cię teraz czeka? – zapytał, nie kryjąc satysfakcji.





– Panie, ratuj! – Abdul zwrócił się błagalnie do Mahometa.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– Jezus ma rację. Nie wystąpiłeś z jego kościoła, więc w moich oczach wciąż jesteś niewiernym. Precz, duszo nieczysta! Kto nie żyje wedle bożych zasad, godzien jest potępienia!

– Amen – przytaknął Jezus. – Tomaszu, zostałeś skazany na piekło, a teraz idź już, bo przeszkadzasz w naszej rozgrywce!

– Rozgrywce?!

– O rząd dusz – wyjaśnił spokojnie Mahomet.

– W rzeczy samej – Jezus wykonał ostateczny ruch. – Szach-mat!

Figurka przypominająca Abdula bin Alego vel Tomasza Rogowieckiego została strącona z planszy.

* * *

Abdul ponownie znalazł się w terminalu lotniska. Kciuk ześlizgnął się z dźwostika, uruchamiając mechanizm bomby. Fala gorących płomieni rozlała się po jego ciele, rozrywając je na kawałki. Siła wybuchu stopiła kości i rozczłonkowała korpus. Ochłapy mięsa poszybowały w górę, uderzając w witryny sklepów.

W tym właśnie momencie czas się zatrzymał. Nie było przeszłości ani przyszłości, istniała tylko teraźniejszość, której esencją stał się niewyobrażalny ból, odczuwany przez terrorystę. Cierpienie miało nigdy nie ustąpić, bo przecież w piekle wszystko powtarza się bez końca.





Bar „Malaga”

Zuza Wrona

– Co za cholerne zadupie! O asfalcie tutaj chyba za pół wieku dopiero usłyszą...

David sięgnął po energetyk, wychylił wszystko na raz, zmiądzzył puszkę w dłoni i rzucił na tylne siedzenie swojego pickupa.

Jechał do Evils Town, jakiś stryjeczny kuzyn wnuka kogoś tam, nie ogarniał tych powiązań, kopnął w kalendarz i to właśnie David miał odziedziczyć po nim dom. Brzmiało świetnie, ale z każdym kilometrem, zbliżającym go do tej dziury zwanej Evils Town, coraz bardziej żałował, że w ogóle ruszył dupę z ciepłego mieszkania w bloku.

Zza zakrętu wyłoniła się zardzewiała tabliczka, „Evils Town 250 miles”.


– Nosz kurw... Nie ma szans, że dojadę tam dzisiaj! – David zaczął się nerwowo rozglądać. – Przecież w tej dziurze musi być jakiś motel!

Po około 15 minutach jazdy po żwirze, w oddali zaczął majaczyć szyld, jakby wyrwany z filmu *Psychoza*. Na drewnianej planszy umieszczony był czerwony neon „Motel – miejsca”, a pod spodem, doczepiona grubym łańcuchem plastikowa tabliczka z napisem: Bar „Malaga”.

– No pięknie, zaraz wyskoczy na mnie Norman, ale pewnie nic lepszego i tak mi się nie trafi...

David zaparkował pickupa, zabrał sportową torbę leżącą na miejscu dla pasażera i udał się w kierunku drzwi, które zdawały się prowadzić do recepcji motelu. Pchnął je delikatnie, deski sprawiały wrażenie, że trzymają się na super glue zmieszonym z kurzem. Widok lady tłustej od brudu nie zrobił na nim wrażenia. Dopiero to obwisłe, stare babsko





z papierosem w otwartych ustach i z wywalonym brzuchem, dokonało roboty.

– Czego?

– Pokój na jedną noc.

– Pięćdziesiąt dolców, chyba że chce z łazienką, jak z wychodka się boi korzystać, to wtedy osiemdziesiąt.

– Taka dziura, a ceny jak w prawdziwym mieście – mruknął pod nosem. – Niech będzie ten z łazienką.

– Gotówka, od razu. I tu się wpisze! Czytelnie.

Kiedy David wpisywał się do księgi, a właściwie notesu gości, babsko wyciągnęło spod lady klucz, z doczepionym wielkim kawałem drewna i wrytym na nim napisem „P13”.

* * *

Udał się do swojego pokoju. Od razu po wejściu do cuchnącego zaduchem środka sprawdził, czy pod tandetnymi obrazkami nie ma ukrytych judaszy. Oglądanie horrorów czegoś go w końcu nauczyło. Rzucił torbę na łóżko i zdecydował się odwiedzić miejscowy bar.

Bar „Malaga” był w tylko trochę lepszym stanie niż motel, ale służby sanitarne na pewno tutaj nie zaglądały.

– Whisky, podwójne, na lodzie.

Barman podał Davidowi szklankę, mierząc męczyznę z góry na dół, jednocześnie przeżuając wykałaczkę. No tak, pewnie nie za często zagląda tutaj ktoś z miasta. A do tego wszystkiego David miał rzucające się w oczy, wytatuowane ramię.

Rzucił na blat banknot, chwycił ubitą szklankę i usiadł przy najbliższym wolnym stoliku. Typowy zaściankowy bar. Stara szafa grająca w rogu, pęknięta tarcza darta, stół

bilardowy, no i puste okrągłe stoliki. Coś jednak nie pasowało do tej sielankowej scenerii, a właściwie ktoś...


Czy ona tutaj była cały czas? Niemożliwe – pomyślał. Od razu po wejściu spostrzegłby taką... szprychę. Wyglądała zjawiskowo, jakby wklejona w photoshopie do przypadkowego tła. Dziewczyna miała długie czarne włosy, idealnie dopasowane jeansy oraz luźny top, zapewne z logiem jakiegoś mało znanego, postpunkowego zespołu, z rodzaju Lebanon Hanover lub Pixies. Grała w bilard z jakimś przypominającym skrzyżowanie zombie i ducha miejscowym głupkiem. David nie mógł oderwać od dziewczyny wzroku. Cudem tylko powstrzymywał się, żeby nie wyglądać jak idiota, śliniąc się z na pół otwartej szczęki.

Dziewczyna operowała kijem z precyzją godną chirurga. Wbijiała bilę za bilą, nie dając lokalsowi najmniejszych szans na wygraną. Kiedy wreszcie czarna ósemka powędrowała do luzy, nieznajoma spojrzała z namysłem w kierunku Davida, jakby od początku było to jej zamiarem. Delikatnie odgarnęła kosmyk włosów z policzka, odsłaniając swoje zielone, lekko skośne oczy. Uśmiechnęła się tajemniczo, co sprawiło, że serce Davida zamarło na chwilę, a potem podeszła do baru. Nie musiała nic mówić. Barman i tak z miejsca podał jej szklankę z drinkiem. Widać ona też była kiedyś tutejsza.

David podszedł do niej rozlewając swoje whisky. Był jak w jakimś transie. Musiał, po prostu musiał z nią porozmawiać.

– Cześć, pozwolisz, że to ja zapłacę za twojego drinka? – zapytał. Miał wrażenie, że głos ugrzązł mu w gardle już przy drugim słowie.

Kiwnęła delikatnie głową. Podniosła szklankę, upiła łyk, a potem puściła oczko w kierunku Davida.



– Płacę za panią. Dla mnie jeszcze raz podwójne whisky na lodzie.

David rzucił kolejne banknoty na bar, a następnie gestem zaprosił dziewczynę do stolika. Zgodziła się! Usiadła zakładając nogę na nogę. Wpatrywała się w niego przeciągle, spojrzeniem jakby ulepionym z lodu.

– Zdradzisz mi jak masz na imię, czy cały wieczór będziesz taka tajemnicza? – spytał.

Dziewczyna nerwowo zaczęła się rozglądać po lokalu, jakby szukała odpowiedzi na to pytanie na ścianach, suficie, po czym wychrypiała:

– Rose...

Jej głos ani na chwilę nie wzbudził podejrzeń w Davidzie, tak był zafascynowany dziewczyną.

Siedzieli przy stoliku, pijąc drinka za drinkiem. Właściwie to David pił, nie kontrolując ilości alkoholu, podczas gdy dziewczyna cały czas powoli sączyła napój z pierwszej jeszcze kolejki. Rozmawiali, David cały czas opowiadał i wymownie gestykulował, a Rose cały czas go kokietowała. Niby przypadkiem dotykała jego kolana, a co kilka minut załotnie odgarniała włosy. Flirtowała z nim, nie mówiąc ani słowa. I tylko jej oczy rozmawiały z nim cały czas...

Mocno już wstawiony David stwierdził, że to zadupie ma jednak „momenty”. I postanowił sobie, że uczyni z tej nocy *Przygodę Życia*.

– Rose – wybełkotał, a kiedy zrozumiał, jak bardzo niewyraźnie, stracił na moment całą pewność siebie. Ale przecież zdanie raz wypowiedziane dokończyć musiał. – Może... Mam tu pokój. Chcesz?

Dziewczyna o dziwo bez słowa skinęła głową. Wstali i udali się do pokoju numer trzystaście.

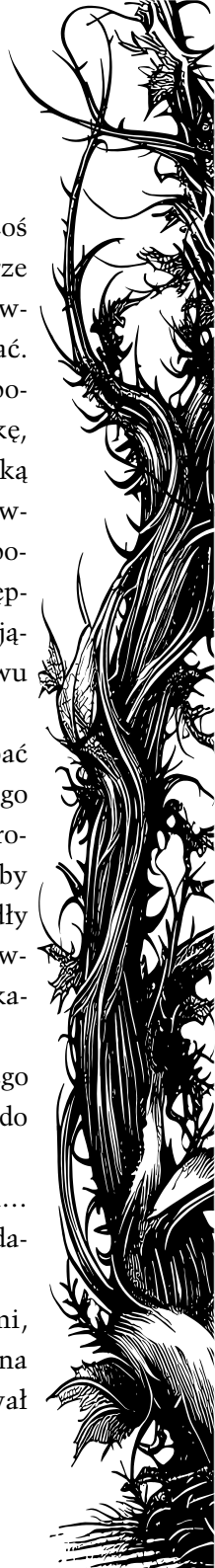
Gdy tylko David zamknął za nimi drzwi, stało się coś dziwnego i niespodziewanego nawet dla niego, choć dobrze wiedział przecież, do czego to wszystko zmierza. Dziewczyna przyłgnęła do niego i zaczęła go namiętnie całować. David chciał ją od razu rozebrać, pozbyć się tych szmat, poczuć jej ciepłe ciało przy swoim. Kiedy zdjął jej koszulkę, w ogarniętym półmrokiem pokoju ujrzał przez krótką chwilę siną bliznę, która zaczynała się od obojczyka dziewczyny, a znikwała pod jej spodniami. Nabrał ochoty, żeby pocałować tę bliznę, jednak dziewczyna odsunęła się, a następnie odskoczyła. Podniósł natychmiast ręce w przeproszającym geście i widząc zmianę na jej twarzy, zbliżył się znowu do dziewczyny.


Rose zdjęła koszulkę Davida i od razu zaczęła drapać jego plecy, znowu namiętnie go całując. Przygryzła jego dolną wargę zębami. David uznał, w przeblysku niekontrolowanych emocji, że woli... nieco ostrzejszą zabawę. Zęby Rose coraz mocniej zaciskały się na jego ustach. Poczul mdły i nieco metaliczny smak krwi. To nie powstrzymało dziewczyny. Ścisnęła szczęki tak mocno, aż wraz z odgłosem czkania, wyrwała kawałek ciała wprost z dolnej wargi Davida.

– Co do cholery?! – wybełkotał, usta wypełniła mu jego własna krew, cieknąca ciurkiem po nagim torsie, aż do pępka. Czuł wilgoć, oszołomienie, ogromny ból...

Rose powoli przeżuwała krwawy kawałek mięsa i... uśmiechała się przy tym niczym mała dziewczynka zjadająca się owocowymi żelkami.

Rzuciła się na Davida, oplatając go w pasie silnymi, umięśnionymi nogami. Jej paznokcie wbiły się w ramiona mężczyzny. Zaczęły rozrywać jego ciało. David próbował





zrzuć z siebie dziewczynę, łapiąc ją mocno w pasie. Czuł jak strach, niczym zimne kleszcze, zawiera się za nim. Fragmenty skóry Rose pozostawały mu w dłoniach, odsłaniając gnijące mięśnie dziewczyny. Próbował krzyczeć, jednak Rose chwyciła jego gardło, wyciągnęła z ust język i jednym szarpnięciem zwartych zębów... odgryzła go.

Davidowi zakręciło się w głowie, dziewczyna cały czas mocno go oplatała i zajadała się jego językiem, niczym przysmakiem w chińskiej restauracji.

* * *

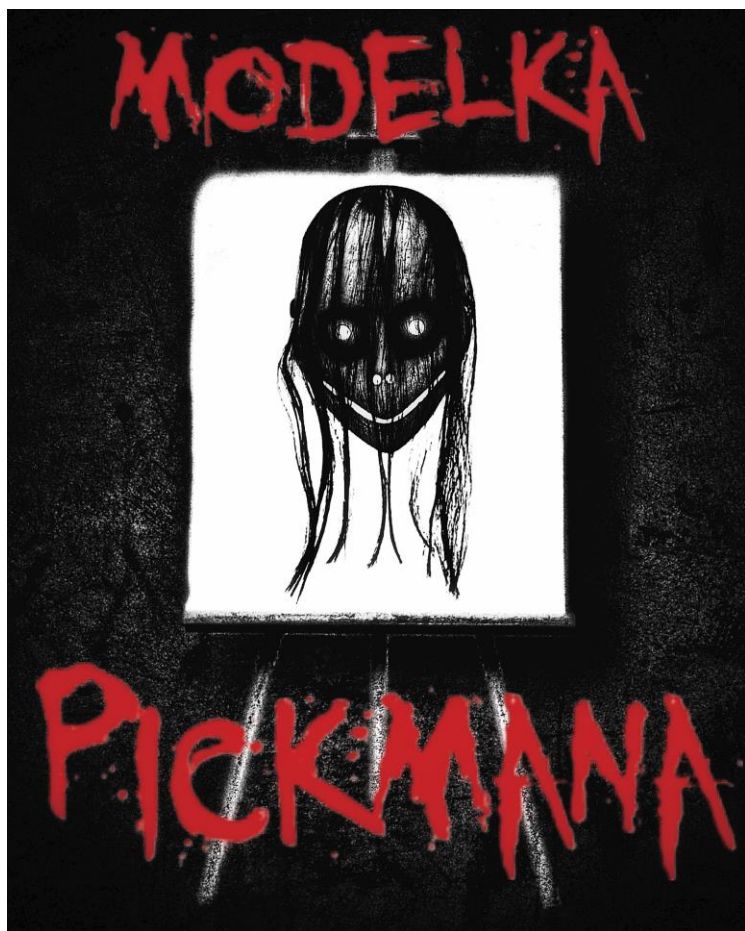
Słaniając się na nogach, usiadł na łóżku. Dziewczyna nie miała zamiaru kończyć tej gry. Przygniotła swoją ofiarę do łóżka. Niczym dzikie zwierzę obwąchiwała rannego mężczyznę, dotykała jego ciała, drażniła skórę, czasami penetrowała jej powierzchnię własnym językiem. Wiedziona instynktem, wgryzła się w szyję Davida, rozrywając skórę, ścięgnęła i tętnicę, czemu towarzyszyły osobliwe trzaski i chłęptanie. Kolejne chwile upłynęły na zlizywaniu ciepłej krwi, spływającej z ciała, którym wstrząsały kolejne drgawki.

Ostatnim tchnieniem David spojrział na Rose, która teraz pazurami zaczęła rozrywać jego spodnie...





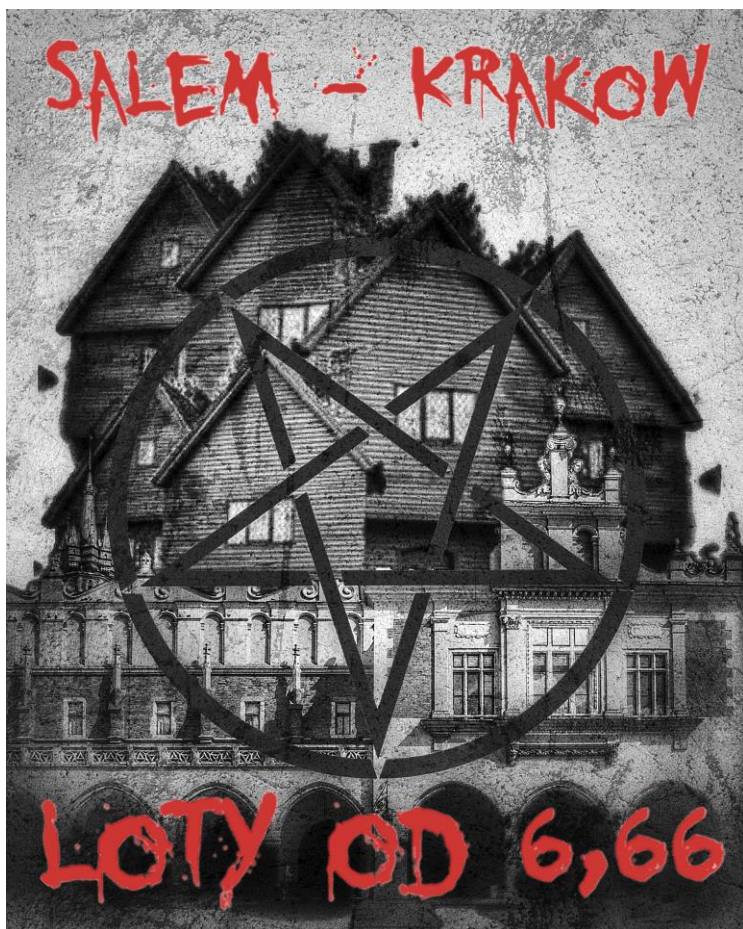
Galeria



Maciej Klimek

137





Maciej Klimek





Maciej Klimek

139





Maciej Klimek

140





Ewa Kosmala





Ewa Kosmala





Łukasz Gwiżdż Artwork

<https://www.facebook.com/Ukaszgwizdz.art>

<https://www.instagram.com/ukaszgwizdz>





Lukasz Gwiżdż Artwork

<https://www.facebook.com/Ukaszgwizdz.art>

<https://www.instagram.com/ukaszgwizdz>



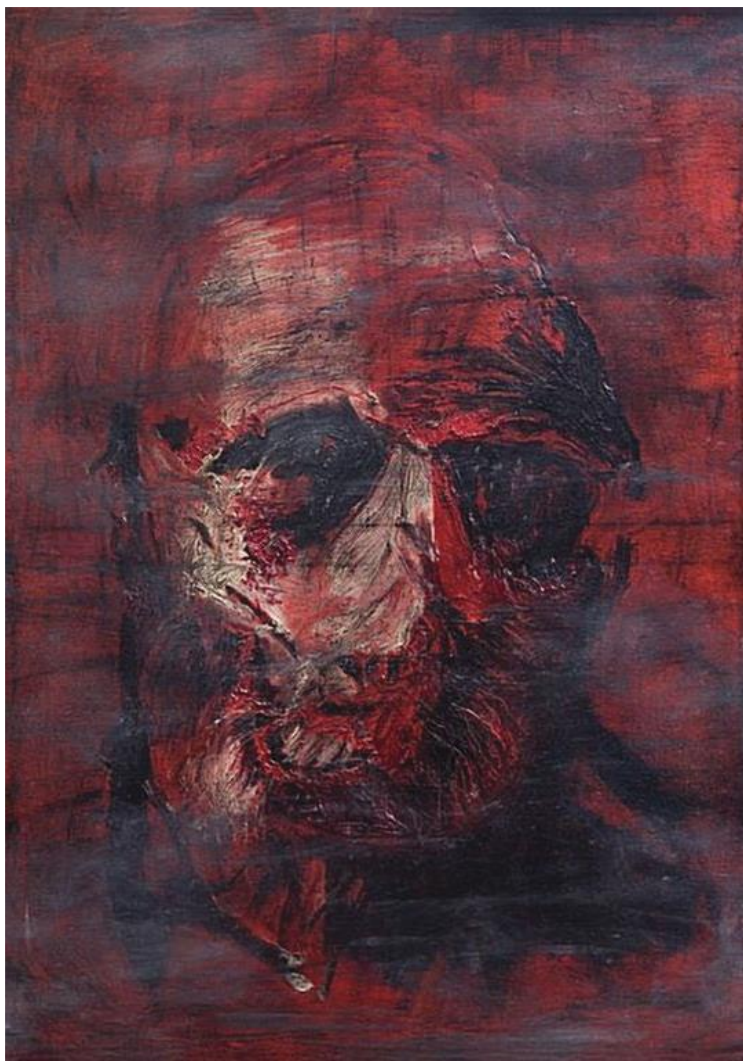


Łukasz Gwiżdż Artwork

<https://www.facebook.com/Ukaszgwizdz.art>

<https://www.instagram.com/ukaszgwizdz>





Lukasz Gwiżdż Artwork

<https://www.facebook.com/Ukaszgwizdz.art>

<https://www.instagram.com/ukaszgwizdz>





Małgorzata Lewandowska
@artbygoria

147



GROZOWNIA FESTIVAL

12.10.2024

KAWIARNIA LITERACKA
KRAKOWSKA 41, KRAKÓW

START: 11:30
WSTĘP WOLNY

ORGANIZATORZY

GROZOWNIA
kawiarnia
Literacka

PARTNER


Replika
www.replika.pl

PATRONI MEDIALNI



**STUDIO
GROZY**



**WIELKI
WEB
BUK**



IM
INFECTED.PL



**ZŁOTY
KŁOPOT**
PRODUKTOR

GROZOWNIA FESTIVAL

SALA DUŻA

- 11:30-12:20** Michał Tomczyk „Manuskrypty szaleńców – o najdziwniejszych książkach świata”
- 12:30-13:20** Bogusia Szewczyk, Marta Płaza „Muzy, terapeuci, asystenci czarownic, potwory... Horrorowe oblicza kocich bohaterów”
- 13:30-14:20** Adam Klimczak, Michał Klimczak „Tego korytarza wcześniej tutaj nie było, a ten pokój jest jakiś dziwny” - czyli o wykorzystaniu rozwiązań architektonicznych dla wywołania efektu grozy
- 14:30-15:20** Łukasz Świniarski i goście „Dylan Dog - Detektyw Mroku. Rozmowa z właścicielami wydawnictwa Tore”
- 15:30-16:50** Studio Grozy „Modelka Pickmana” - nietuzinkowa adaptacja utworu H.P. Lovecrafta
- 17:00-17:50** Artur Pomierny, Daniel Rosolek „Trauma i grzechy przeszłości - realistyczne elementy grozy”
- 18:00-19:20** Groza jest kobietą unplugged, czyli rozmowa o AWARII PRĄDU z autorkami: D. Adwentowską, A. Bednarską, A. Musiałowicz, P. Stępień, S. Osińską (prow. M. Paluch)

GROZOWNIA FESTIVAL

SALA KAMERALNA

- 12:00-12:50** Joanna Pyplacz „Korzenie cmentarnej róży. W poszukiwaniu źródeł estetyki gotyckiej”
- 13:00-13:50** Diabeł, las, śnieg, schody, rzeka... Spotkanie autorskie z Anną Musiałowicz, prow. M. Srebnny
- 14:00-14:50** Łukasz Rządowski, Zuza Wrona „Czy z ekstremą warto wyjść na salony?”
- 15:00-16:20** Nie taki straszny... Rozmowa o twórczości Stephena Kinga (R. Ziębiński, G. Kopiec, M. Płaza, prow. B. Szewczyk)
- 16:30-17:20** Aleksandra Bednarska „Legendy miejskie. Od słowa ulicy do creepy pasty”
- 17:30-18:20** Piotr Grochowski „Niewypowiedzianie plugawe kadry - czyli Lovecraft w komiksie”

Podziękowania

Zamykając ten wyjątkowy fanzin, chcielibyśmy wyrazić naszą wdzięczność wszystkim, którzy przyczynili się do jego powstania. Przede wszystkim pragniemy podziękować **autorom opowiadań oraz grafik**, którzy poświęcili swój czas, by swoją pasję i talent przelać w historię. Wasze wizje grozy wypełniły te strony emocjami. Dziękujemy za to, że podzieliliście się nimi z nami wszystkimi.

Szczególne podziękowania kierujemy do **organizatorki festiwalu Grozownia – Magdy**. To dzięki Twojej nieustającej pracy, determinacji i zaangażowaniu festiwal mógł się rozwijać, stając się jednym z najważniejszych wydarzeń literatury grozy w Polsce. Dziękujemy za stworzenie przestrzeni, w której twórcy i fani mogą się spotykać, wymieniać inspiracje i wspólnie celebrować fascynację tym, co nieznanne i mroczne.

Podziękowania należą się także **czytelnikom**. To dla Was powstał ten fanzin, to Wy jesteście motywacją, aby wciąż tworzyć. Dziękujemy, że towarzyszyacie nam w tej podróży.

Nie zapominamy również o dzielnym i wytrwałym zespole, odpowiedzialnym za korektę, szatę graficzną oraz skład. To dzięki Waszej ciężkiej pracy możemy delektować się teraz niniejszą publikacją w jej obecnej postaci.

Niech ten fanzin będzie pamiątką wspólnie spędzonych chwil. Do zobaczenia na kolejnych edycjach Grozowni – i pamiętajcie: **groza zawsze czeka na Was w cieniu**.

Dariusz Frenki





Kilka literek od technicznych

Agata i Paweł Jackiewicz

A było to tak. Robiąc 7 lat temu pierwszą fanowską akcję na planszówkę, porywaliśmy się z motyką na słońce. Wzmoczona nasza aktywność w społeczności fanów Króla Stefana, zaowocowała jednak w ostatnich latach zbudowaniem małego imperium w podziemiu wydawniczym... Z tym imperium to oczywiście żart, ale zdarzało się, że nazywano nas „małym wydawnictwem”, choć jest nas ledwie dwójka, a wydawnictwem nie jesteśmy wcale. Gdy przez nasze mieszkanie przepływały trzy palety książek, w łącznej ilości ponad dwóch tysięcy egzemplarzy, byliśmy skrajnie zmęczeni i mieliśmy absolutnie dość patrzenia na tabelki i słuchania dźwięku taśmy klejącej, dobrym słowem zawsze nam służył taki jeden Darek. Zatem kiedy człek ów ze swoją motyką porwał się na inne słońce i jego projekt fanzina na 6. BizarroCon zaczął wydawać się nierealny, weszliśmy w jego życie z butami i udało nam się wspólnym wysiłkiem w cztery dni projekt reanimować. Propozycję kontynuacji tej zabawy przy fanzinie na tak fantastyczną inicjatywę, jaką jest Grozownia, przyjęliśmy bez zastanowienia. Publikacja, którą trzymacie w rękach, sprawiła nam mnóstwo frajdy. Wasze teksty są wspaniałe i jesteśmy z tego projektu niezwykle dumni. Darek! Dziękujemy Ci za zaufanie i chociaż czasem mamy dość Twoich snów, nie zamienilibyśmy Cię na nikogo innego. Mamy nadzieję, że to nie jest ostatnie nasze wspólne rodeo. Dzieńki Frenki!

PATRONI



GROZOWNIA STUDIO GROZY



*Wypisz Wymaluj
Agata Jackiewicz*

